Rok I. Kraków, dnia 20 Września 1882 r. Nr. 12.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

PO DZIESIĘCIU LATACH.

NOWELLA

Walerji Marrené.

(Ciąg dalszy).

Ja, chociaż nie jestem powieściopisarzem, gotów byłem w tej chwili pójść za jego przykładem, gdybym tylko możliwy sposób wynalazł.

Ale sposób był nie do wynalezienia, przynajmniej dla mojej wyobraźni, która z chęcią nie chciała iść w parze i jak koń leniwy sprostać jej nie mogła.

Obchodziłem dom w prawo i w lewo, medytując, jakieby sobie wymyślić dogodne obserwatorjum, gdy wtem spostrzegłem, że nie ja jeden byłem w takim przypadku.

Na bezludnej ulicy, znajdował się drugi człowiek i tak jak ja wpatrywał się w oświecone okna.

Może zresztą, wpatrywał się w inne; front miał ich aż siedem, z których pięć było oświeconych — ale mnie to na myśl nie przyszło.

Ponieważ byłem w poetycznym nastroju, przypomniałem sobie sobowtór Heinego. Wprawdzie postać, jaką miałem przed sobą, nie łamała rąk z wściekłością rozpaczy, alež i ja nie czyniłem tego wcale. Spojrzałem uważniej i wówczas dostrzegłem wyraźnie, iż ten mniemany sobowtór był nieco wyższym i tęższym odemnie, a przytem zamiast moich rudawych nieco fawo-rytów, miał brodę i wąsy, które mi się czarnemi wydały. Rysów rozpoznać nie mogłem.

Zrobiłem zwrot na lewo i wyminąłem dom oświecony. Nieznajomy zrobił zwrot na prawo i udał się w przeciwną stronę. Zatrzymałem się o kilka kroków i towarzysz mój uczynił zapewne to samo, bo gdy po kilku minutach wróciłem na dawne stanowisko, spotkałem się z nim znowu, oko w oko.

To mnie zniecierpliwiło.

Nie mogłem wprawdzie zabronić mu przechadzać się w tem miejscu, bo przecież ulica należy do każdego, ale ponieważ należała do mnie zarówno jak do niego, zacząłem i ja także przechadzać się jawnie naprzeciwko oświeconych okien.

Nieznajomy uczynił ze swojej strony niezawodnie toż samo rozumowanie i powziął takież samo postanowienie, bo niebawem skrzyżowaliśmy się na chodniku raz i drugi.

Jakkolwiek czyniłem to wszystko bez żadnego interesu, przecież każdy przyznać musi, że fakt podobny może przyprowadzić do ostateczności.

Tak też stało się ze mną, oraz z moim mimowolnym towarzyszem. Bo skrzyżowawszy się raz i drugi, zatrzymaliśmy się wreszcie, jakby na komendę, jeden naprzeciwko drugiego.

— Panie! — zawołałem.

— Panie! — powtórzył jak echo.

Po tym wstępie znalazłem się w niejakim kłopocie: ustąpić nie chciałem, upierać się nie miałem przy czem.

Po chwili jednak namysłu, postanowiłem wziąść rolę napastnika, najwłaściwszą w razie kiedy się niema słuszności.

— Panie! — powtórzyłem — chciałbym zapytać, z jakie-

KRONIKA.

Ze skruchą staję przed wami czytelnicy, nie mogąc wam dostarczyć zapowiedzianego opisu wystawy przemyskiej. W chwili bowiem, kiedy miałem siadać do pociągu lwowskiego, wezwany zostałem do ratowania ojczyzny. Tak jest! — ja, a nie kto inny był tym, którego wybrał książe Bismark za narzędzie Opatrzności, a jeżeli Nord. allg. Zeitung zaprzecza mojej rozmowie autentyczności, to tylko dlatego, że «Czas» popełniwszy plagiat ze spisanej przezemnie rozmowy, odjął jej świeżość naturalną na korzyść mglistych frazesów. Czuję się więc w obowiązku ogłosić ją drukiem, a choć myśl i tendencja jest taż sama co w rozmowie przez «Czas ogłoszonej, każdy pozna łatwo różnicę, jaka między niemi zachodzi w samym sposobie przedstawienia sprawy.

Oto więc autentyczna relacja:

Dnia 5-go września listonosz Wojciech Duda przyniósł mi list z pieniędzmi zapieczętowany pikelhaubą z laku i dwoma pruskiemi orłami. Otworzywszy go znalazłem wewnątrz 50 Mrk. i następujące pismo:

Szlachetny mężu! Ajent mój policyjny Fritz Donnerwetter wydał o tobie nader przychylną opinję, a mianowicie, że się nie buntujesz przeciw «Baranom» a z warcholstwem lwowskiem nic nie masz do czynienienia. Na podstawie tej informacji ugruntowałem się w przekonaniu, że jesteś zasad konserwatywnych i monarchicznych, a przytem patrjotą gorącym, a jednak liczącym się ze stanem rzeczy. Załączam ci więc 50 Mrk. jako Reisegeld, prosząc cię, szlachetny mężu, abyś zechciał odwiedzić mnie w Warzynie, gdyż pragnąłbym z tobą o tem i owem pogadać.

Łączę wyraz szerokiego poważania etc. etc.

Otto v. Bismark m. p.

Jako więc «patrjota gorący, a liczący się ze stanem rzeczy,» wybrałem się w podróż. Nawiasem mówiąc owe 50 Mrk. skradziono mi w Berlinie, jako też i zegarek cylinder pozłacany. Złożywszy to na ołtarzu sprawy, przybyłem do Warzina.

Po przyjęciu prostem, miałem z kanclerzem rozmowę, którą tu z pamięci spisuję.

Ks. B. Jakże zdrowie?

Ja. Serdecznie dziękuję — niczego. Mały tylko reumatyzm w prawej nodze.....

Ks. B. To chwała Bogu! chwała Bogu! A jakże dziateczki?

go powodu wybrałeś pan sobie tę część ulicy za miejsce przechadzki?

Toż samo pytanie mogło być do mnie zwrócone.

Antagonista mój jednak nie uczynił tego. Widziałem przy świetle gwiazd twarz jego, — pobladła, wzrok się zapalił, zamigotał skrami i zagasł.

Przez chwilę zdawał sie wahać, ale wahanie to nie miało nic wspólnego z trwogą. Przeciwnie, oczy jego głębokie i poważne, zdawały się mnie badać, jak gdybym pytaniem mojem nadał mu prawo zajrzenia w głąb myśli.

— Masz pan słuszność—odparł wreszcie stłumionym głosem — miejsce to nie jest właściwem do nocnej przechadzki. Chodźmy.

W tonie jego była spokojna powaga, której się oprzeć nie mogłem i nie chciałem, bo nie miałem przyczyny upierać się.

W tem miejscu chodnik był wązki, on skłonił mi się lekko, z wytworną grzecznością, jak gdyby ustępował mi pierwszeństwa.

Miałem wielką ochotę zrekognoskować przynajmniej numer domu, przed którym odbyła się ta scena, ale niepodobna mi było uczynić tego bez ujawnienia całej niedorzeczności mego postępowania. Spojrzałem więc tylko raz jeszcze na dom, aby go dobrze zapamiętać.

Dwa okna, które mnie szególniej zainteresowały, świeciły mglistym blaskiem, za firankami nie znać było najmniejszego ruchu, żaden cień nie przesunął się po nich.

Widocznie pomiędzy ulicą a niemi nie było żadnego porozumienia. Oddaliliśmy się.

Towarzysz mój szedł za mną równym krokiem, w głuchem milczeniu, którego ja także przerywać nie miałem najmniejszej chęci.

Tak doszliśmy do placu świętego Aleksandra, tak przeszliśmy go w całej długości.

Droga moja wypadła ku Nowemu Światu, on skręcił w Jerozolimską aleę, wprzód jednak pożegnał mnie jednym z tych ukłonów, który widocznie oddaje się nie dla człowieka, do którego jest zwrócony, ale dla samego siebie, dla uszanowania przyzwoitości towarzyskiej.

Tym ukłonem towarzysz mój stwierdzał niejako swoje dobre wychowanie i zamykał ze mną stosunki, — od tej chwili przestawał mnie znać — wracał mi wolność robienia co mi się tylko podoba, nawet wrócenia na Hożą ulicę, gdyby mi przyszła ta fantazja.

Teraz dopiero uczułem, iż byłem jego niewolnikiem i zdałem sobie dokładnie sprawę z roli, jaką odegrałem.

Jakkolwiek towarzysz mój uległ mojej woli, czułem dobrze, iż rola ta w obec niego, nie była wcale zaszczytną. Potrafił zapanować nad położeniem i nademną w sposób, którego mu za złe wziąść nie mogłem, ale zawsze w sposób dotkliwy dla mojej miłości własnej.

Były to wszystko odcienia, — odcienia nadzwyczajnie subtelne, rozumiałem je przecież doskonale, a że w owej chwili byłem w szczególnem usposobieniu, że według poety, czułem za trzech ludzi przynajmniej, więc i upokorzenie to było dla mnie potrójnie bolesne. Straciłem chętkę włóczenia się bez celu po ulicy i powróciłem do domu.

Spać mi się jednak nie chciało, wziąłem gazetę — gazeta wydała mi się nikczemnie nudną. Księgarz przysłał mi pakę rozmaitych nowych książek, pomiędzy wszystkiemi nie było ani jednej, którąby mnie zajęła. Potępiłem ryczałtem całą nowoczesną literaturę, i nawet pokazałem to czynnie, odrzucając niewinne książki ruchem pełnym pogardy.

Zapaliłem cygaro... cygaro jak na złość ciągnąć nie chciało, woda sodowa była zwietrzała — słowem, wszystko szło mi tego wieczoru na opak.

*

* *

Nazajutrz próbowałem nie myśleć więcej, ani o pannie Joannie, ani o tym całym wieczorze — ale z myślami... tak bywa, że im mniej ich żądamy tem uparciej nas nie odstępują.

Przeszedł dzień jeden i drugi, a cała postać mojej kuzynki, i to czarne znamię drżące od uśmiechów, i ten wzrok mądry, przenikliwy a nieujęty, stały mi w oczach ciągle.

Miałem nadzieję, że ją gdzieś spotkam, włóczyłem się po ulicach, zachodziłem do różnych osób, którym rzadko bardzo pierwej oddawałem wizyty — i jak to zwykle bywa w podobnych razach, nie spotkałem jej nigdzie.

Jakkolwiek Warszawa nie należy do tych olbrzymich zbiorowisk ludzkich, które pochłaniają jednostkę, panna Joanna przepadła w niej jak kamień w wodzie.

Najkrócej było pójść do niej. Jakkolwiek w dalszym stopniu, byliśmy przecież krewnemi, ale coś wstrzymywało mnie od tego kroku — owo coś, było to podobno wspomnienie niewczesnego spotkania z owym nieznajomym, tak dumnym i grzecznym zarazem.

Zdawało mi się, że niewątpliwie stoi on na straży na Hożej ulicy, że zaraz na rogu ujrzę go znowu, z tym ukłonem pół szyderczym, pół lekceważącym, którego zapomnieć nie mogłem.

Ale skoro nie poszedłem tam pierwszego lub drugiego dnia, więc już później pójść mi nie wypadało.

Pokłóciłem się przytem zupełnie z piękną blondynką, bo raptem odkryłem w niej tysiące rzeczy, które dawniej mnie nie raziły.

Ja. Zdrowe, dziękuję. Nepcio tylko ma lekki katarek, a Zonia trochę jakoś grymaśna...

Ks. B. To pewno na ząbki..... A jakże tam pogoda?

Ja. Fatalna! Deszcz leje, a leje. Czy księciu się tu nie nudzi w Warzynie?

Ks. B. Nie, zwłaszcza, że pracuję obecnie nad sprawą polską, lubo nie wiem czy ona egzystuje.....

Ja. Egzystuje, egzystuje — słowo honoru daję. Tylko zwracam uwagę Ekscellencji, że te słowa nikogo nie wiążą, bo ja nie mam upoważnienia mówić o tem, że sprawa polska egzystuje.

Ks. B. Ja również się zastrzegam, że mówię prywatnie, gdyż książe kanclerz nie dał mi upoważnienia. Ja tylko tak sobie, pour passer le temps. Radbym poznać opinje poważnych i umiarkowanych Polaków, do których pana zaliczam.

Ja (głośno). O! Ekscellencjo! — Wykrzyknik ten jednak proszę uważać za całkiem prywatny, nie wiążący moich rodaków.

Ks. B. Cieszy mnie, że pan tak dobrze odgrywa rolę. Mówię to jednak prywatnie...., Otóż, uważasz pan, mam wielką ochotę pobić się (całkiem prywatnie) z Moskalami, cóż pan na to?

Ja. Cudowna idea, jak mówi Szekspir i pan Marjan Sokołowski — ale zastrzegam się, że to tylko moje własne zdanie. A da sobie Ekscellencja radę?

Ks. B.. Pi, pi, pi, — jeszcze czego. Zerżnę, jak Boga kocham—i Polskę odbuduję. Tylko ja nie wiem jakiej wy Polski chcecie?

Ja. Z trafikami, loterją, szambelanami i operetką, Ekscellencjo! Jestto moje zdanie, ale mam nadzieję, że je wielu podziela.....

Ks. B. O to mniejsza, ale tu idzie uważasz pan o granice. Otóż, jak wielkiej wy Polski chcecie? czy takiej od morza do morza, czy też takiej od Pędzichowa po Grzegórzki?

Ja. Ja dalibóg nie wiem. Bo to uważa Ekscellencja, jeden humorysta powiedział, że chciałby choć raz wykąpać się w polskim oceanie, a znowu pan Paweł wskrzeszenie rzeczypospolitej krakowskiej uważałby już za wystarczające. Ja bo... ten tego..... byłbym za... za,. ot! tak za... 2ma tysiącami mil kwadratowych.....

Ks. B. Ho! ho! ho! Daj kurze grzędę.....

Ja. Ekscellencjo! ja nie kura, a jeżeli kura to tylko prywatnie. Ja nic nie wiem, ja nie mam upoważnienia, ja się zastrzegam, ja bardzo przepraszam... ja nie ten tego...

Mleczność i poziomkowość płci zawdzięczała ona jakiemuś kosmetykowi a przytem była nudną i wymagającą. Co za różnica z naturalną białością panny Joanny.

Wszystko to razem wprawiało mnie w piekielny humor. I rzecz dziwna, wzrastał on w miarę przechodzącego czasu.

Tak minęło parę tygodni. Spełniałem swoje codzienne obowiązki, bo cóż miałem robić?

Myślałem wprawdzie bardzo o pannie Joannie, ale straciłem już nadzieję spotkania jej kiedykolwiek, gdy niespodzianie pewnego pięknego południa, w miejscu gdzie alea Jerozolimska przecina Nowy Swiat, mignęła mi jej postać.

Szła z jakąś starą kobietą, i obie spuszczały się ku dolnej części miasta, piękną a osamotnioną zwykle aleą prowadzącą na Solec.

Wiosna była bardzo wczesną w tym roku; gorące promienie słońca osuszyły błotniste ulice i wywołały z ziemi pierwszą zieloność świeżych traw; wzgórze, na którem wznoszą się okazałe domy nęciło wzrok.

Pąki na kasztanach, nabrzmiałe sokami, zapowiadały rozkwit pierwszych liści i pierwszych kwiatów, a tymczasem owady zwabione ich lepką słodyczą, brzęczały rojami dokoła.

W błękitnej mgle oddalenia srebrzyły się fale rozlanej Wisły i ciemniały grupy drzew Saskiej kępy, a ku niebu wzbijały się słupem ciężkie dymy fabryczne.

Obraz to był codzienny, ale pomimo to, piękny barwami wiosny rozlanemi w naturze, piękny słońcem, zielonością, błękitem — wiejący temi ożywczemi powiewami zmartwychpowstającej natury, które przez ścieśnione mury i zduszoną atmosferę miasta, zdawały się tu zalatywać z odległych pól i borów.

Poznawszy pannę Joannę, zdwoiłem kroku i niebawem znalazłem się przy niej.

— Dzień dobry, kuzynko! — zawołałem z tak szczerą radością, iż radość ta odbić się musiała w moim głosie, ruchu, spojrzeniu.

I nie wiem, czy to było złudzenie tego dnia słonecznego, który każde serce rozradować musiał — ale zdawało mi się, że toż samo uczucie odbiło się także na twarzy panny Joanny — a nawet przysiągłbym, że dostrzegłem na niej delikatny cień rumieńca.

Nie byłbym zauważył z pewnością jej towarzyszki, gdyby kuzynka nie odezwała się do mnie.

— Ah! panie Karolu! Nie poznajesz cioci Marty?

Ciocia Marta! To imię mieściło mnóstwo przypomnień z owych dawnych, dawno minionych wakacyj, które teraz ze wszystkiemi szczegółami tkwiły mi w pamięci.

Ciocia Marta! Wszakże to ona w domu rodziców panny Joanny zawiadywała spiżarnią, apteczką, ogrodem. Do niej przy każdej wyprawie na leśne podwieczorki lub na śniadania, udawaliśmy się po rozmaite zapasy; ona obdarzała nas sokami, które tak wybornie przyrządzać umiała. Ona wstawała nieraz równo ze słońcem, by towarzyszyć nam w jakiej fantastycznej wycieczce. Gderała wprawdzie zawsze, gniewała się czasami, ale w rezultacie robiliśmy z nią ciągle wszystko, cośmy chcieli.

Nie wiem czy ciocia Marta należała do naszej rodziny i w jakim stopniu; czy była wyłączną krewną panny Joanny, czy też i moją także.

Za przykładem innych, nazywałem ją ciocią, a ona się o to nie gniewała wcale. Był to typ, zaginiony już podobno, ubogiej krewnej, kochającej swoich chlebodawców, przygarnionej z łaski, a pomimo to wywdzięczającej się troskliwością i pracą około ich dobra.

Dobrze, iż panna Joanna wymówiła imię cioci Marty, bo nie byłbym jej poznał z pewnością.

Ciocia Marta przez te lat dziesięć, ze żwawej i ruchliwej kobiety, stała się zupełną staruszką. Postać jej pochyliła się, tysiąc zmarszczek wystąpiło na twarz, a włos ze złotego stał się biały jak srebro, przeświecając tylko gdzie nigdzie dawnym połyskiem, który coraz bardziej w srebro się przemieniał.

Twarz jej była smutną, mówiła wyraźnie o cierpieniach, bólach, nieszczęściach tych ostatnich lat dziesięciu; świadczyła, że całem sercem podzielała koleje rodziny Joanny, a zarazem mówiła i to, że na szerokim świecie pozostała jej tylko ona jedna.

— Ciocia Marta! — zawołałem nieuważnie — to ciocia Marta...

Staruszka potrzęsła głową i spojrzała na mnie. Na ustach jej błąkał się uśmiech, jakby odbity z ust panny Joanny ale w oczach były jakieś głębie mroczne, których uśmiech ten nie rozjaśniał.

— Pani nie mówiłaś mi nic o cioci Marcie — wyrzekłem z wymówką zwracając się do kuzynki.

— Nie pytałeś pan o to — odparła krótko.

Miała słuszność, nie pytałem jej o nic, jak gdyby przeszłość cała wymazaną była zupełnie z mojej pamięci. Dałem jej prawo tak sądzić przynajmniej.

Dwie kobiety szły wolno. Ciocia Marta już nie była tą żywą, ruchliwą osobą, przebiegającą niegdyś tak energicznie wszystkie zakąty wiejskiego dworu. Ociężała już bardzo i wspierała się na ramieniu Joanny.

Szedłem przy nich.

Jeźli kuzynka obudziła we mnie nagle cały zamilkły chór młodzieńczych marzeń, widok cioci Marty sprawiał mi dziwne rozrzewnienie. Ona tak czynnie wmięszana niegdyś do naszego

---

Niech Ekscellencja to uważa, jak gdyby nigdy nic...

Ks. B. Wróćmy więc do rzeczywistości. Co pan myślisz...

Ja. Ja nic nie myślę Ekscellencjo! uchowaj Boże ja nic nie myślę, ja nigdy nie myślałem, ja nigdy myśleć nie będę. Aj, aj, Ekscellencjo! daj mi pokój...., (ochłonąwszy) Bardzo byłbym szczęśliwym, gdybym mógł wiedzieć, co Ekscellencja rzeczywistością nazywasz? Może... może... tak tysiąc mil kwadratowych?

Ks. B. Czy to ostatnie pańskie słowo?

Ja. Oczywiście, że nie! Ja i na 500 przystanę.....

Ks. B. A dwieście nie łaska?

Ja. Dobrze, dobrze, ja jeszcze dla zgody co opuszczę. Ja nic o żadnej geograficznej Polsce wiedzieć nie chcę, mnie idzie tylko o polityczną. Sam książe wiesz, jakiem być może państewko, któreby mogło stać samo, aby się nie przewróciło. Sądzę, że najlepiej byłoby dać mu podpórkę przez powiązanie z jaką dynastją.

Ks. B. A jak się dynastja, panie dobrodzieju, przewróci?

Ja. O! Książe! Dynastja, wasza książęca mości, jestto dynastja, a dynastja to nie byle co, nie hetka pętelka..... Zastrzegam się, że to moje osobiste przekonanie.

Ks. B. Proszę się dalej i jaśniej tłumaczyć.

Ja. To bardzo trudno, ale sprobuję. Rosja ma siłę zaczepną, i odporną—może iść naprzód albo zaczekać. Wy jeżeli zechcecie to pójdziecie, a jak nie zechcecie to nie pójdziecie. Jak pójdziecie to zwyciężycie i pójdziecie, gdzie zechcecie, ale Rossji nie rozbierzecie. Co poczniecie?, gdzie staniecie? Pójdziecie i stać będziecie i czekać poł wieku będziecie, niczem się nie uwieńczycie i nie spotęgujecie. Ergo: wielkie księstwo warszawskie na wzór byłego krakowskiego to jest to co wam zrobić wypadnie, — będziecie mieli *coś*...

Ks. B. Tere-fere-kuku... Ale, ale: jakże wy tam z Rossją? nie pogodzicie się czasem?

Ja. To trudna odpowiedź, ale jeżeli się nie mylę, to: nigdy! Chyba, gdyby... ale ja w to nie wierzę.

Ks. B. Oj filut z waćpana, filut. Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek. Prawdziwy dyplomata, kuty na cztery nogi.....

Ja. Co książe o czterech nogach mówi?

Ks. B. Et! wyrwało się. Ale, powiedz mi mój mości dobrodzieju, macie wy arystokrację?

życia, dziś była zaledwie cieniem i ruiną dawnej istoty! Oczy jej zapadłe, zdawały się spoglądać nie na otaczające przedmioty, ale w głąb własnego ducha czy pamięci. Cofnęły się od świata i tylko chwilami, jakby przywołane gwałtem, zaświeciły iskrą życia i znów zapadały w tajemniczą zadumę.

Chociaż obok niej, byliśmy chwilami zupełnie sami z panną Joanną.

W tym momencie świat wydał mi się dziwnie piękny, dziwnie radosny; rzadcy przechodnie mieli jakieś świąteczne twarze, nawet turkot wozów śpieszących ku fabrycznej części miasta, lub ciągnących z niej z ładunkiem ciężarów, wydawał mi się przyjemny.

Nagle, ni ztąd ni z owąd, przyszedł mi na myśl ów człowiek spotkany przy świetle gwiazd błyszczących pewnej nocy na Hożej ulicy, i cała radość moja znikła nakształt słonecznego obrazu, przyćmionego nagle gęstą chmurą.

Gdybym też sprobował zbadać tę tajemnicę? Bo tajemnica, jeżli rzeczywiście istniała, była dla mnie zbyt dręczącą.

— Czy pani idziesz na przechadzkę? — zapytałem okrążając zdaleka kwestję drażliwą.

— Tak jest, chciałam, żeby ciocia Marta użyła tego pięknego dnia.

— I dlaczegóż kuzynko, obrałaś to odludne miejsce?

— Ciocia Marta nie lubi uczęszczanych spacerów — a potem mieszkamy ztąd niedaleko.

— Mieszkasz niedaleko ztąd, kuzynko — pochwyciłem — czy nie na Hożej ulicy?

Skinęła głową, zdziwiona, że znam jej adres.

— Na Hożej? Czy nie w tym ślicznym domu z balkonem, oplecionym na wszystkie strony prątkami pnących się krzewów?

— Zkąd to wiesz, kuzynku?

Więc to była prawda! Ona tam mieszkała.

Odetchnąłem z trudnością i rzekłem:

— Zkąd wiem? odgadłem.

— Znasz więc kuzynku Hożą ulicę i nasz zaklęty zamek na pustkowiu. Ale jeżli oglądałeś go tak zblizka, to brzydko z twojej strony, że nie zapukałeś do nas.

Mówiła to z zupełną swobodą.

— Przechodziłem tam późno wieczorem—wyrzekłem z przyciskiem.

Ale ona przycisku nie zauważyła i śmiać się zaczęła.

— Przechodziłem? Cóż za wspaniałe wyrażenie! Albož to kto przechodzi Hożą ulicą? Wszakże to istny koniec świata.

— Spotkałem jednak kogoś, który się także przechadzał po niej, koło oświetlonych okien.

— Spotkałeś pan jakiego Almawiwę! w naszym prozaicznym wieku? To rzecz ciekawa, bardzo ciekawa — zawołała żartobliwie. — Doprawdy, żeby to zobaczyć, trzeba iść aż na Hożą ulicę.

Nie podzielałem jej śmiechu.

— Kuzynko — wyrzekłem — Almawiwa przechadzał się koło domu piętrowego, obrosłego pnącemi drzewami, a zdaje mi się, że to twoje okna były oświetlone.

Z kolei ona śmiać się przestała i spojrzała na mnie, jakby nie wiedząc czy to był żart, czy prawda; czy miała obrazić się, czy też być mi wdzięczną za ostrzeżenie. A wzrok jej był tak wymowny, iż zawołałem.

— Ja mówię prawdę, przysięgam!

(Ciąg dalszy nastąpi).

PO TROSZECZKU.

(Z Béranger'a „Les Petits Coup").

Być panami naszych chęci
I rozsądkiem je miarkować,
A mieć zawsze na pamięci,
Że gdy zdrowiu łeb się kręci,
To zaczyna człek chorować,
Co jest głupia rzecz, —
To są reguły i prawa,
Wedle których w życiu idźmy...
A gdy zdarza się zabawa,
To wykrzyknąć się nie wstydźmy:
Wszelki zbytek precz!..
A więc dzisiaj, w tym kąciku,
Mając wino na stoliku,
Pijmy sobie łyk po łyku,
Gdy nam idzie w smak, —
Ale pijmy mój kumeczku,
Kropelkami po troszeczku,
Ot tak — ot tak: po troszeczku,
Po troszeczku — tak!..

Nikt nie wyszedł na tem tęgo,
Kiedy pił odrazu dużo:
Dla kieszeni to z mitręgą —
I człek staje się ciemięgą
Z nosem, który kwitnie różą —
Niepotrzebny kwiat!..
O tem, że człek śród zapasów
Z winnym sokiem — łacno pada, —
Jeszcze za Noego czasów
Sławna jego rejterada
Przekonała świat...
Mamy drogę — więc nie błądźmy:

Ja. Trudno ją zliczyć wasza książęca mości— jest jej jak gwiazd na niebie. W powiecie, w którym ja mieszkam, oprócz 22 właścicieli dóbr są jeszcze hrabiami: starosta, komisarz, koncepts-praktykant, inspektor powiatowy, dwóch inżynierów drogowych, 12-stu dzierżawców, nie licząc ekonomów i propinatorów, którzy za lat 20 lub 30 hrabiami święcie zostaną.....

Ks. B. Pi, pi, pi — no, no, no! Toś pan pewnie z Galicji? A demokraty, nihilisty, są u was?

Ja. Wszystko to siedzi w mysiej dziurze, a jak któremu przed wyborami rękę podam, to skacze z radości. Hołota i basta!

Ks. B. A dlaczego pozwoliliście na szaleństwo r. 1863?

Ja. O! bo my, książe, jesteśmy silni, gdy się na czem oprzeć mamy. Gdyby nas rząd popierał i gdybyśmy mieli władzę w ręku, to takiego byśmy im bigosu narobili, żeby ruski miesiąc popamiętali. Tak, my jesteśmy najsilniejsi — proszę nam dać tylko władzę.

Ks. B. Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę... W razie poparcia przez rząd i przypuszczenia do rządu liberałów, a nawet nihilistów, to ci również by silni byli. To nie sztuka być silnym, jak się ma dobre plecy — to każdy potrafi.

Ja. O! Książe — to się nie godzi równać nas z nihilistami.....

Ks. B. Mniejsza o to. A jak u was z ideą monarchiczną?

Ja. Stoi jak mur, — tak, dobrzem powiedział, jak mur stoi. My jesteśmy z krwi monarchistami, my nawet (nie chwaląc się) mamy między sobą wielu kandydatów do tronu: hr. Alfred, hr. Artur, książe Adam, książe Władysław, margrabia Zygmunt, pan Mikołaj, kolega nareszcie Waszej Ekscelencji: Ekscellencja Paweł.....

Ks. B. Fiu, fiu, fiu — długa litanja. No! dziękuję panu, żeś się fatygował. Jak mi kartofle obrodzą, to przyszlę panu kilka korcy. Do widzenia — w innych okolicznościach.

Ja. W innych okolicznościach? Dlaczego w innych? Wszak moje okoliczności są czarne i świeżo z pracowni Lipczyńskiego wyszłe..... Jestto moje zdanie prywatne.....

Ks. B. Ależ... ja mówię o okolicznościach politycznych.

Ja. Przepraszam. Padam do nóg, całuję rączki. Habe die Ehre. K. B.

Przy butelce tedy siądźmy,
Lecz haustami nie tak rządźmy
Jakby czynił żak:
Tylko, miły mój kumeczku,
Cedźmy sobie po troszeczku:
Ot tak — ot tak — po troszeczku,
Po troszeczku — tak!..

Wprawdzie wiele jest na świecie
Rzeczy nie wesołych bardzo...
Jak się wszystko głupio plecie —
Ja to wiem i wy to wiecie,
Wiedzą wszyscy, którzy gardzą
Wiekuistem złem:
Człowiek tedy, widząc w winie
Zapomnienia środek pewny,
Uśmiecha się butelinie,
Jak kochance amant rzewny...
Miło to jest — wiem!..
Lecz, by wzbudzić w was nadzieję
Że są prądy i koleje,
Co dzisiejsze smutne dzieje
Przenicują wspak, —
Dość jest na to, mój kumeczku,
Sączyć winko po troszeczku...
Ot tak — ot tak: po troszeczku,
Po troszeczku — tak!

I z kochaniem — jak z butelką:
Nadto łykasz, — pewne troski!..
Lepiej z oględnością wszelką
Delektować się kropelką
Tej ambrozji iście boskiej —
Dla nas — mocnej zbyt...
Lecz — co widzę?.. Moją Rózię
Taki system nie zachwyca —
Bo uchyla smutną buzię,
Patrząc tęschnie w twarz księżyca
I w niebiosów szczyt!..
Otóżeśmy dobrze wyszli!..
Porzuć, Róziu, smutne myśli!..
Kiedy człowiek program kreśli,
To już dobry znak:
Czyż to źle jest mój koteczku —
Ciągle kochać — po troszeczku?..
Ot tak — ot tak: po troszeczku,
Po troszeczku, tak!..

Na życiowej tedy uczcie
Biesiadujcie przyzwoicie:
Pijcie, ale głów nie czmućcie,
Żywcie się — lecz rąk nie brudźcie —
To nie orgja — ale życie,
Pochód, a nie żart!..
By rozlewać — szkoda wina...
By swawolić — zdrowia szkoda!..
Gdy popęka ta łupina,
Jędrna pokąd jeszcze młoda, —
Niechaj nie drwi czart,
Że rozpadła się przedwcześnie!
Kończyć nie tak jest boleśnie,
Gdy zanucić możem pieśnię:
„Żyło się nie wspak!..
„Dudliło się, mój kumeczku,
„Lecz roztropnie, po troszeczku...
„Ot — tak — ot tak: po troszeczku,
„Po troszeczku — tak!..“

L. Kozłowski.

USTĘP Z ŻYCIA MICKIEWICZA.

UWIĘZIENIE I WYROK WYGNANIA.

Napisał

Dr. Teofil Ziemba.

(Ciąg dalszy).

— «Wyrzekania żony — mówi Lelewel [1]) i opinja przerażającą rozszerzyła myśl dopełnionej kary niebios.»

Z tego też powodu i Mickiewicz idąc za tym prawie powszechnym wówczas głosem, w tak niekorzystnem świetle przedstawił znanego z «Dziadów» doktora, nie pomijając i szczegółów strasznej jego śmierci, którą opisał w następującej scenie:

Mieszkanie senatora — słychać uderzenie piorunu.

Wszyscy (zlęknieni)
Słowo stało się ciałem!.... To tu!
Inni.
Tu! Tu!
Ks. *Piotr.*
Nie tu.
Jeden (patrząc w okno).
Jak blisko: — w sam róg uniwersytetu.
Senator (pochodzi do okna).
Okno doktora!..
Ktoś z widzów.
Słyszysz w domu krzyk kobiéty?
Ktoś na ulicy (śmiejąc się).
Cha, cha, cha, djabli wzięli!
Pelikan (wbiega zmięszany)
Senator.
Nasz doktor?..
Pelikan.
— Zabity
Od piorunu. Fenomen to godzien rozbiorów:
Około domu stało dziesięć konduktorów,
A piorun go w ostatnim pokoju wytropił,
Nic nie zepsuł i tylko ruble srebrne stopił.
Srebro leżało w biurku tuż u głów doktora
I zapewne służyło dziś za konduktora...

Łatwo pojąć, że miejsce to i w ogóle rola, jaką Mickiewicz nadał doktorowi Bécu w swym poemacie, mogły dać powód do późniejszych naprężonych ze Słowackim stosunków. Nie dziwimy się zresztą, że autor Anhellego mógł mieć za to niepokonany żal do niego. — Ale na obronę Mickiewicza da się to powiedzieć, że idąc za głosem opinji, mógł się zapewne pomylić, ale w każdym razie nie był jedynym, który w pismach swoich tak doktora Bécu osądził. Wszakże nie o wiele lepiej opisał go i Lelewel w dziełku: «Nowosilcow w Wilnie,» a i Aleksander Chodźko niedawno tak się o nim wyraził:

«Znałem bliżej doktora Bécu i nie sądzę, ażeby zniżył się do przekupstwa, ale to pewna, że nie należał do partji nieprzyjaznej rządowi [2]).

Być może, że mylne były te wszystkie głosy, nawet i ów szydersko wołający na ulicy «*cha! cha! djabli wzięli,*» co zgodnie z powyższem miejscem w «*Dziadach*» — słyszał przejeżdżający tamtędy w owej chwili Alojzy Niewiarowicz [3]).

---

[1]) Nowosilcow w Wilnie str. 54.

[2]) Rocznik towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu r. 1868 List Aleks. Chodźki do dyrektora biblioteki polskiej w Paryżu str. 371.

[3]) *Wspomnienia o Ad. Mickiewiczu.* Lwów 1878 na str. 31.

Jest zresztą dziś rzeczą pewną, że do owej komisji śledczej, na której czele stał Nowosilcow, nie należał wcale potępiany ojczym Juljusza Słowackiego. Do niej bowiem oprócz Pelikana, jako zastępcy rektora (po Twardowskim) należeli tacy, jak sowietnik Ławrynowicz, Otto Anderson, radca nadworny, Leon Bajkow, radca stanu i słynny ze srogości prokurator Botwinko.

Znane są te figury z III. części «Dziadów,» gdzie charaktery ich, jak mówi sam Mickiewicz — «sumiennie» są skreślone. — Nie potrzebujemy zatem powtarzać, jakim był Bajków,

Któremu by się zdało
Trochę balsamu, bo miał takie trupie ciało,

— lub ów srogi katownik studentów:

Pan Botwinko — cha!, cha!
O, nie prędko on skończy, gdy się raz rozmacha...

Ale i tych okrutników spotkały niedługo po tem różne nieszczęścia, które nie dziw, że od niewinnie prześladowanych uważane były za pomstę niebios. I tak sowietnik Ławrynowicz zmarł nagle w listopadzie tegoż roku, a rodziny Szłykowa i Botwinki doznały także różnych klęsk przez śmierć lub ogień.

W ogóle przekonanie o owej przez Lelewela [1]) i Mickiewicza [2]) wspomnianej «karze widomie sięgającej prześladowców» było tak niewzruszone, że nawet straszną powódź, która zalała Petersburg w pierwszych dniach listopada r. 1824, uważano powszechnie za objaw tego samego rodzaju.

Autor «Dziadów» nie pominął tej okoliczności i w ustępie pod napisem «*Oleszkiewicz*» tak wspaniale opisał mistyczną zapowiedź tego pamiętnego zdarzenia:

Ty nie śpisz carze! Noc już w koło głucha,
Śpią już dworzanie: a ty nie śpisz carze.
Jeszcze Bóg łaskaw posłał na cię ducha,
On cię w przeczuciach ostrzega o *karze*...

V.

Już od czerwca 1824 roku pozostawali obwinieni Filareci na wolnej stopie, a chociaż owi szesnastu, między którymi był i Mickiewicz, zostawali pod ścisłym dozorem policyjnym, wolno im było cieszyć się myślą, że sprawa ich nie weźmie złego obrotu, tem bardziej, że wyznania ich, których zgodność wprowadzała w zdumienie nawet prześladowców, nie dowiodły żndnego politycznego występku.

Niebawem wszakże okazać się miało, że nadzieje te były przedwczesne, a jakkolwiek Zan z Czeczotem i Suzinem wzięli całą winę na siebie, przecież nie zadowolił się Nowosilcow tylko temi trzema ofiarami.

Dla zupełnego dokonania swoich zamiarów udał się on najprzód do Warszawy, zkąd po przedstawieniu całej sprawy W. księciu Konstantemu, pojechał do Petersburga.

Tu dopiero komitet złożony z polecenia cesarza z hrabiego Aleksego Arakczejewa, członka rady państwa, admirała Szyszkowa, ministra oświecenia (po Galicynie) i nareszcie samego Nowosilcowa jeszcze raz, począwszy od 7 sierpnia, roztrząsał sprawę wileńskiego uniwersytetu, aż nakoniec 14 sierpnia r. 1824 zapadł stanowczy i przez samego cesarza zatwierdzony wyrok.

Nie podajemy aktu tego w całej jego rozciągłości, bo znaleźć go można w dziełku Lelewela: «*Nowosilców w Wilnie,*» oraz w «*Pamiętnikach Jundziłła*» [3]). Powiemy tylko krótko, że ukazem owym czterej profesorowie t. j. Lelewel, ks. Bobrowski, Daniłowicz oraz Gołuchowski usunięci zostali od profesury uniwersyteckiej [4]); najczynniejszych zaś członków towarzystwa filareckiego rozmaite spotkały kary:

1. Tomasz Zan, uznany za najbardziej winnego, miał być «po wytrzymaniu w twierdzy przez rok jeden wysłanym w rosyjskie gubernie.»

2. Jana Czeczota i Adama Surina spotkał ten sam los wszakże tylko po 6 miesiącach więzienia w twierdzy.

3. Jan Jankowski — powiada ukaz—lubo powinienby uledz tejże samej karze, jaka się naznacza dla Czeczota i Suzina: z uwagi atoli, iż on pierwszy istnienienie towarzystwa Filaretów odkrył i szczerze żałował, że do niego należał, zamienić jemu karę w dziesięciomiesięczne trzymanie pod aresztem i wysłać z polskich gubernij.

4. Nauczycieli szkoły połockiej XX. Pijarów X. X. Macieja Brodowicza i Kalasantego Lwowicza usunięto z profesury i oddano pod szczególny dozór zwierzchności duchownej.

5. Józef Kowalewski, Feliks Kułakowski i Jan Wiernikowski, uczniowie skarbowi, «którzy oświadczyli życzenie doskonalenia się w językach wschodnich» — mieli być wyprawieni do uniwersytetu w Kazaniu.

6. Kazimierza Piaseckiego, Ignacego Domejkę i Stanisława Makowieckiego oddano pod ścisły dozór policji, zabraniając przyjmować ich do jakiejkolwiek służby publicznej.

7. Kilkunastu innych, między którymi byli: 1. Adam *Mickiewicz*, 2. Franciszek Malewski, 3. Józef Jeżowski, 4. Teodor Łoziński, 5. Jan Sobolewski, 6. Onufry Pietraszkiewicz, 7. Wincenty Budrowicz, 8. Mikołaj Kozłowski, 9. Jan Heydatel. 10. Jan Krynicki, 11. Cypryan Daszkiewicz. 12 Hilary Łukaszewski i 13. Jan Michalewicz,—mieli być zostawieni ministrowi oświecenia, «ażeby ich użył po części szkolnej w oddalonych od Polski gubernjach» za to, że, jak mówi ukaz: *myśleli rozszerzyć za pośrednictwem nauki nierozsądną narodowość* [5]) *polską.*»

Po ogłoszeniu takiego wyroku, którego część odnosiła się także do członków naukowego towarzystwa, zawiązanego między młodzieżą w Świsłoczy, pozwolono skazanym pozostać na wolnej stopie w Wilnie jeszcze przez pięć tygodni dla urządzenia swych spraw prywatnych i przygotowania się do podróży: Zana tylko miano wprost z więzienia wysłać do twierdzy w Orenbrgu.

Korzystając z tego ostatniego pobytu w ziemi ojczystej, przepędzali Filareci długie wieczory razem ze sobą, nabierając w ten sposób więcej siły do zniesienia czekającego ich losu.

Tymczasem powrót Nowosilcowa do Wilna, który w nagrodę za dokonane dzieło, został kuratorem uniwersytetu wileńskiego, otrzymał nadto w darze 50.000 rubli i starostwo słonimskie [6]), przyspieszył całkowite wykonanie ukazu, zwłaszcza, że i tak już upłynął termin wspomnianych 5-ciu tygodni.

Z tego powodu prawie wszyscy skazani, oraz wielu ukazem niedotkniętych zebrali się po raz ostatni 21 Października według rusk. kal.—zatem według naszego 2 listopada t. j. w dzień zaduszny u jednego z kolegów na poddaszu przy ulicy Ostrobramskiej, gdzie przepędzili całą noc aż do świtu. Niejeden bawiący na wsi, jak np. Ignacy Domejko, pospieszył do Wilna, aby pożegnać odjeżdżających kolegów. Łatwo pojąć, jakie uczucia przejmowały wówczas te serca młodociene! A przecież nawet teraz byli oni

---

[1]) *Nowosilcow w Wilnie.*

[2]) *Przedmowa do III. części „Dziadów."*

[3]) Także w rozprawie Ign. Kl. pod tyt: *Promieniści*, drukowanej w oświacie w Poznaniu 1881. str. 2492.

[4]) Usunięto także, choć nie na mocy tego ukazu, Kazim. Kontryma z posady adjunkta biblioteki, zabraniając mu pobytu na Litwie.

[5]) Jundziłł podaje wyraz „nacjonalizm."

[6]) Później Nowolicow mianowany był hrabią, a w r. 1832 otrzymał najwyższą posadę prezydenta rady państwa i komitetu ministrów, na której pozostawał aż do śmierci w r. 1838.

raczej weseli, niż smutni; śpiewali wszystkie pieśni filareckie, a Kułakowski dla odpędzenia smutku, opowiadał wesołe anegdoty, jak np. sławne spotkanie się księdza Czerskiego z wielkim księciem Michałem.

Już niedaleko było do wschodu słońca, gdy wszyscy obstąpili Mickiewicza prosząc, aby co zaimprowizował.

Poeta wzbraniał się przez chwilę, ale gdy Frejend [7]) zaczął grać ulubioną mu pieśń o Laurze i Filonie («Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły»), wnet uczuł się natchnionym i stosownie do jej rytmu wygłosił balladę «Renegat.»

(Dokończenie nastąpi.)

---

[7]) . . . Ty masz flet, Frejendzie,

Graj dawną jego nótę; a my cicho stójmy. (Dziady.)

Taką ulubioną dla poety nótą prócz Laury i Filoma był także menuet z Donżuana. Mickiewicz improwizował zwykle w formie śpiewu, stósownie do granej nóty. Znane jest humorystyczne zakończenie jednej takiej improwizacji. Gdy bowiem Frejend pewnego razu, jakby na próbę łatwości improwizowania, zaczął grać niezwykle szybko, poeta dotrzymując mu taktu, wśród śmiechu taką wypowiedział zwrotkę:

Czyż mnie koledzy o nieba!
Chcecie wystrychnąć na głupca?
Przy takiej nucie potrzeba
Językiem trzepać chołupca.

Z ETNOGRAFJI KRAJOWEJ [1])

przez

Romana Zawilińskiego.

II.

Kilka zwyczajów osobliwych w połączeniu z przesądami przywiązanymi do rozmaitych dni w roku podał mi też uczeń gimnazjum Nowosądeckiego Bartłomiej Świnka, z miejsca swego rodzinnego *Łącka*, miasteczka leżącego w obwodzie sądeckim, odległego o 3 mile od Starego Sącza na drodze ku Szczawnicy.

Czarownice odgrywają w życiu ludu ważną rolę; to też sposobów poznania ich i ukarania napotykamy niemal w każdej wsi wiele. Mieszkańcy Łącka radzą, aby w celu zobaczenia czarownicy robić stołeczek od św. Jedrzeja (30 listopada) aż do jutrzni (tak nazywają mszę pasterską), ale robić tak, aby każdego dnia coś przybyło. Idąc do kościoła na pastérską mszą trzeba ten stołeczek wziąć ze sobą i stanąć na nim pod dzwonicą, a wtedy zobaczy się w kościele wszystkie czarownice, jak tam stoją ze swymi «maśnicami» obrócone tyłem do wielkiego ołtarza.

Można też w tym samym celu i od tego samego dnia począć robić sérek i pokazywać go każdemu, z kim się spotka, byle mu go tylko nie dać. Dopiero przyszedłszy na jutrznią trzeba stanąć obok chorągwi, wtedy zobaczy się wszystkie czarownice stojące jak poprzednio. Te zobaczywszy śledzącego je przybiegną, zakryją go chorągwią i będą prosić «na wszyćkie obowiązki» aby ich nie wyjawił, jeżliby się zaś przytem opierał, wtedy owinąwszy go w chorągiew wyniosą na pole, każą zanieść swemu «siotołce» (?) na Babią Górę i przemienią go potem w konika polnego.

Aby się dowiedzieć, która czarownica krowę zczarowała, potrzeba począwszy od św. Łucji (13 grudnia) aż do Bożego Narodzenia codzień, gdy się pali na kominie odrzucić jedno drewienko. W dzień Bożego Narodzenia należy zebrać wszystkie, rozłożyć na środku izby i zapalić, nawbijawszy szpilek w «powązkę» [2]). Kiedy się drewienka dopalać będą, przyjdzie czarownica i będzie chciała koniecznie zabrać tę powązkę, ale nie trzeba jej pozwalać nawet się dotykać, boby zaraz w tym domu kogo zczarowała.

Wracając jeszcze do św. Jędrzeja nadmienić wypada, że oprócz ogólnie znanego zwyczaju przeléwania we wilją wosku lub ołowiu przez panny pragnące iść za mąż, istnieje w Łącku zwyczaj, że wczas rano w sam dzień św. Jędrzeja, tak wczas, aby jeszcze ptak nie przeleciał, łamią dziewczęta gałązki z wiśni i kładą je do flaszki z wodą. Jeżeli się gałązka podczas obiadu rozwije, to się dziewczyna wyda, jeżeli nie, to umrze lub w domu pozostanie.

Do wilji Bożego Narodzenia najwięcej jest przywiązanych zwyczajów i przesądów. Wódka musi być tego dnia w każdym domu, aby się przez cały rok szczęściło. (!). Dziéwki miésząc tego dnia chléb a raczej ciasto na niego, wybiegają z rękami nieobtartymi na pole i głaszczą nimi drzewa owocowe, aby obficie rodziły. Te same drzewa później po wieczerzy powrósłami ze słomy z pod stołu w tym samym celu wiążą. Sądzą też, że na drzewo, które nie rodzi, zamierzyć się tego dnia siekiérą wystarczy, aby przestraszone później rodziło.

Zanim siędą do wieczerzy opasują stół łańcuchami, aby każdy z siedzących przy nim trzymał na nich nogi; nie będą go wtedy przez cały rok boleć i będą silne jak te łańcuchy. Na stoł kładą najpiérw chléb, potem siemię lniane i owies, obok tego opłatek z rutą. Trzeba jeść tyle, aby się przez cały rok jeść nie chciało; uważać zaś należy, aby między jedną a drugą potrawą nie kłaść łyżki na stole, bo wtedy nie doczeka się drugiej wilji. Z każdej «wárzy» (potrawy) biorą łyżkę i wléwają do maśniczki, aby było dużo masła i dobrego. Obiad — jak tam nazywają — składa się z wszelkich gatunków jarzyn; początek stanowi kapusta, koniec ptasie mleko (!?). Przy kapuście dostaje każdy kawałek placka, który ukąsiwszy chowa aż do dnia przyszłego. Wtedy ogląda ten kawałek i jeżli są na nim znaki pleśni, będzie przez cały rok zdrów jak ryba, jeżli nie to umrze. Przy obiedzie musi być ludzi do pary — kto niema pary nie doczeka przyszłej wilji. Zapomnieliśmy dodać, że pod stołem leży siano z powrósłami a w kącie izby snopek owsa z «podłaźnicką» [3]).

Gdy się północ zbliża, o której bydło rozmawia, wychodzą dziéwki z konewkami do poblizkiej rzéki i czekają dopóki nie usłyszą głosu dzwonów. Wtedy biorą prędko wody do konewki, spieszą do domów, kropią wodą śpiących i stawiają ją na łańcuchu, kładąc do niéj srébro lub złoto. W téj wodzie muszą się wszyscy myć przez całe święta, aby byli czystymi jak ten piéniądz [4]).

W Boże Narodzenie wczas rano gospodyni wstawszy, rozpala ogień i okadza bydło swoje, aby mu nie szkodziła czarownica, która wtenczas wychodzi i patrzy z najwyższej góry, z których domów się dymi, a z których nie. W dzień ten nie zamiata się wcale, bo się Pan Jezus w stajence urodził. Nie odwiedzają się też nawzajem, a nawet żebracy nie przychodzą.

Dopiéro w św. Szczepan przed świtem biegają chłopcy z owsem po domach i obsypują nim domowników mówiąc:

Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie
Zeby sie rodziuło w komorze
Wodziuło w oborze
Co dej Panie Boże.
Na kazdem miejscu, żeby stał snopek przy snopku
Kopa przy kopie, a gazda między kopami,
Jako gwiazda pomiędzy gwiazdami.

Tym «podłaźnikom» dają «kołaca» lub co kto ma. Jeźli który z chłopców ma jaką wysypkę, wrzody, nie puszczają go do izby, boby się wszystkim wskutek tego robiły wrzody.

W ten dzień przyprowadzają wołu do izby i dają mu siana i chleba i «podłaziny.»

W Boże Narodzenie przy obiedzie kładą jarzące węgle na deskę, a który się najlepiej «obsypie,» ta jarzyna na rok przyszły się uda.

W zapust trzeba kręcić baty i powrozy na bydło, aby było tłuste.

W dzień Matki Boskiéj Gromnicznéj powróciwszy ze sumy obchodzą dom z gromnicą, potem wchodzą weń, klękają na każdym progu, aby zły duch nie miał do niego przystępu.

W kwietnią niedzielę (palmową) podczas sumy trzeba iść w góry, to się znajdzie skarby, bo w ten czas wszystkie djabły idą do kościoła.

---

[1]) W poprzednim ustępie (w Nrze 11) zaszła pomyłka: zamiast „Sawliny“ należy czytać: „Sowliny“ „Sowliniacy.“

[2]) Kawałek płótna wielkości serwetki, służący do cedzenia mléka świeżo wydojonego.

[3]) Jestto prawdopodobnie to samo, co w Sowlinach „połaźnica.“

[4]) Porównaj podobny zwyczaj w Sowlinach.

W drugie święto Wielkiejnocy oblewają się wodą, aby dobrze wyglądali przez rok cały.

Przed św. Wojciechem trzeba złapać kreta, wyjąć z niego «żywcem» serce i dać je zjeść bydłu, to mu nigdy nic szkodzić nie będzie.

Jeźli kto chce, aby mu wąsy urosły, powinien schwytać węża przed św. Wojciechem i zawiesić go na drzewie. Maścią, która będzie pod wpływem słońca ciekła z węża, trzeba posmarować miejsca, w których sobie kto życzy mieć wąsy, a urosną wielkie w przeciągu dwóch tygodni; trzeba je atoli obcinać, boby się okręciły koło szyi i udusiły.

Aby zobaczyć skarby, trzeba przed św. Markiem złapać węża białego (!) i włożyć go do takiego garnka, w którym się jeszcze nic nie gotowało. Ten garnek trzeba przed wschodem słońca postawić na ogniu i gotować. Gdy się wąż całkiem rozgotuje, trzeba wziąć tego ścierwa i potrzéć sobie oczy, to się zaraz ujrzy wszystkie skarby.

Gdyby się przytrafiło ujrzeć węża, któryby krew z żaby wypijał, należy chwycić kija i odbić żabę. Kij ten będzie miał taką moc, że gdy się nim przeżegna jaką niewiastę, to się zaraz ze swym mężem rozwiedzie i pójdzie szukać innego; gdyby też posiadacz tego kija znajdował się przy «bitce,» potrzebuje tylko przeżegnać tym kijem a wszystko się «rozleci» [5]).

W dzień zaduszny idą wszystkie dusze do kościoła i tam Boga proszą, aby się nam dobrze powodziło.

Resztki z wisielca uważają za bardzo skuteczne w handlu i chowie bydła. «Koniarze» (handlujący końmi) ubiegają się o jego paznogcie i dają je koniom ze solą, to konie, chociaż nie często paszę się im dawać będzie, będą wyglądały jak lwy i bardzo piękne będą.

Również starają się o mięso z wilka, które dają koniom z sianem. Koń zjadłszy to, będzie taki jak wilk, nie da się wilkom złapać, i gdy chcą, aby komu zrobić szkodę, wywodzą takiego konia, uderzają go 3 razy po krzyżach, a koń pójdzie, gdzie największy konicz, napasie się i nikt go nie chwyci; pójdzie sobie do krzaków i przy drzewie stać będzie.

Skrzypek, aby mu skrzypce dobrze grały potrzebuje schwytać kokoszkę czarną, która pierwsze jajo ma znieść. To jajo bierze i chowa pod pachę i nosi go tak długo, jak długo kura siedzi na jajach, przy czem ani myć się ani mówić do nikogo nie powinien. Gdy ten czas minie, z jaja wyklóje się «mętel» (?), którego skrzypek kładzie do skrzypiec. Takie skrzypce potrzeba tylko wziąć do ręki a będą same grały, jak się skrzypkowi podobać będzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pieśń zwycięzkiej miłości.

I. TURGIENIEWA.

Przełożył A. Zenoni Kleczkowski.

„Wage Du zu irren und zu träumen!“
Schiller.

(Ciąg dalszy).

IV.

Walerja nie prędko zasnęła; krew w niej zbytecznie falowała, w głowie trochę dzwoniło... od tego dziwnego wina, jak mniemała, a może od opowiadań Muciusza, lub od gry jego na skrzypcach. — Nad ranem już zasnęła, lecz niezwykły sen ją trapił. Zdawało się jej, że wchodziła do obszernej komnaty z nizkiem sklepieniem, — takiej komnaty w życiu swojem nie widziała. — Wszystkie ściany wyłożone były drobnemi niebieskiemi tafelkami ze złotemi roślinami: cienkie rzeźbione filary z alabastru podpierały marmurowe sklepienie, — tak sklepienie jak filary zdawały się być przeźroczystemi, blado-różowe światło zewsząd przenikało, oświetlając wszystkie przedmioty tajemniczo i monotonnie. Poduszki ze złotogłowia leżały na wązkim dywanie, na samym środku gładkiej, jak zwierciadło podłogi. Po kątach lekko się unosił dym z kadzielnic przedstawiających monstrualne zwierzęta. Okien nigdzie niema, zawieszona na drzwiach aksamitna kotara czernieje milcząco... Wtem kotara bez szmeru usuwa się... podnosi... i wchodzi Muciusz. Wita ją... roztwiera ramiona, uśmiecha się... Jego szorstkie ręce obejmują jej talję, jego suche gorące usta palą ją... Bezsilna upada na wznak na poduszki. . . . . . .
. . . .

Drżąc ze strachu, po długiem szamotaniu, ocknęła się. — Nie pojmując jeszcze, gdzie jest i co się z nią stało, podnosi się na łóżku, ogląda się. — Dreszcz przebiega po jej ciele. Fabiusz śpi koło niej. — Śpi, — lecz twarz jego przy jasnym blasku księżyca zaglądającego przez okno, blada jak u nieboszczyka. Walerja zbudziła męża; jak tylko roztworzył oczy: «co ci się stało?»— zapytał. — «Miałam sen, sen okropny» — wyszeptała wzdrygając się.

W tej samej chwili od strony pawilonu posłyszeli silne dźwięki, — i oboje poznali melodję, którą grał wieczorem Muciusz, nazywając ją pieśnią zadowolonej zwycięzkiej miłości. Fabiusz popatrzył na żonę; ta zamknęła oczy i odwróciła się; oboje powstrzymując oddech wysłuchali pieśni do końca.

Skoro ucichł ostatni dźwięk, księżyc skrył się za chmury, w pokoju zapanowała ciemność. Małżonkowie poprzyciskali głowy do poduszki i nie mówiąc do siebie ani słowa nie zauważyli wzajemnego zaśnięcia.

V.

Rano Muciusz przyszedłszy na śniadanie, zdawał się być bardzo zadowolonym, wesoło rozmawiał z Walerją. Ona odpowiadała mu zmięszana; spojrzawszy na niego ukradkiem dziwnego doświadczyła wrażenia widząc jego zadowoloną, wesołą twarz i przenikliwe spojrzenie. Muciusz miał zamiar znów opowiadać im wrażenia swoich podróży, lecz Fabiusz przerwał mu przy pierwszych wyrazach.

— Widocznie nie mogłeś zasnąć? Słyszałem z żoną jak grałeś wczorajszą pieśń.

— Tak? — słyszeliście? — wycedził Muciusz. — A grałem, rzeczywiście, lecz przedtem już spałem, — a nawet, miałem zdumiewający sen.

Walerja zbladła. — Jaki sen? — zapytał Fabiusz.

— Zdawało mi się, odrzekł Muciusz, nie spuszczając oczu z Walerji, że jestem w obszernej komnacie, po wschodniemu przyozdobionej. — Rzeźbione filary podpierały sklepienie, ściany były z kosztownych tafel, a chociaż nie było ani ościen, ani świec, całą komnatę napełniał różowy blask, jak gdyby ściany z przeźroczystych były kamieni. Po kątach stały chińskie kadzielnice, na podłodze leżały poduszki ze złotogłowia na wązkim kwiecistym dywanie. Wszedłem przez drzwi zasłonięte kotarą z aksamitu; a z drugich drzwi, naprzeciwko, weszła kobieta, którą kiedyś kochałem... I do tego stopnia znalazłem ją piękną, zachwycającą, że cała miłość moja dawniejsza powróciła. «Muciusz znacząco zamilkł. Walerja siedziała nieruchoma coraz bardziej blednąc, oddech jej stawał się ciężkim.

— Po tym śnie, rzekł Muciusz, — obudziłem się i zagrałem sobie tę pieśń.

— A cóż to była za kobieta? zapytał Fabiusz.

— Była to żona pewnego indjanina; lecz już nie żyje, — umarła...

---

[5]) Może o żadnem zwierzęciu nie panuje tyle przesądów ile o wężu. Wiele nawet podobnych podanym znajdzie ciekawy czytelnik zestawionych w dziełku Prof. Gustawicza „Podania, przesądy, gadki i nazwy ludowe w dziedzinie przyrody“ Cz. I. str. 67—75. Odbitka ze Zbioru wiadomości do antropologji krajowej Akad. Umiej. z tomu V.

— A mąż jej? — zapytał Fabiusz, sam nie wiedząc dlaczego zadaje te pytania.

— Mąż jej? — także podobno nie żyje. Dawno już o obojgu nic nie słyszałem.

— To dziwne, zauważył Fabiusz. — Moja żona także miała dzisiejszej nocy niezwykły sen...—Muciusz przenikliwie spojrzał na Walerję. — Którego mi jeszcze nie opowiedziała, — dodał Fabiusz.

W tej chwili Walerja wstała i wyszła z pokoju. —Zaraz po śniadaniu Muciusz wyszedł także, mówiąc, że musi być w Ferrarze za interesami i że wcześniej jak na wieczór nie powróci.

VI.

Na kilka tygodni przed powrotem Muciusza, Fabiusz rozpoczął malować portret swojej żony, na obrazie wyobrażać mającym świętą Cecylję. W sztuce swojej uczynił już znaczne postępy; znakomity Luini, uczeń Leonarda da Vinci przyjeżdżał do niego do Ferrary, a pomagając własnemi radami, komunikował także uwagi swojego wielkiego mistrza. Portret był prawie skończony, pozostawało wykończyć twarz kilkoma pociągnięciami pędzla i Fabiusz mógłby pysznić się swojem dziełem. Pożegnawszy Muciusza udał się do swojej pracowni, gdzie zazwyczaj oczekiwała go Walerja; — dzisiaj nie zastał jej, — wołana nie odzywała się... Dziwny niepokój nim owładnął; zaczął jej szukać. W domu nie znalazłszy jej, pobiegł do ogrodu i tam dopiero w jednej z najbardziej oddalonych alei spostrzegł ją. Ze spuszczoną na piersi głową z załamanemi rękami siedziała na ławeczce, a za nią wydzierając się z ciemnej zieleni cyprysów stał marmurowy satyr ze skrzywioną złośliwym usmiechem twarzą przykładając do piszczałki swoje zaostrzone zęby. Znać było po niej radość z przybycia męża; na jego trwożliwe pytania odpowiedziała, że ma lekki bol głowy, że ten już przemija i że gotową jest do pozowania. Fabiusz zaprowadził ją do pracowni, posadził, wziął do rąk pędzel, lecz mimo największej chęci nie był w stanie dokończyć portretu tak jak sobie życzył. Nie dlatego, że twarz jej była bladą i znużoną... nie; lecz tego czystego, świętego wyrazu, który mu się tak podobał w jej twarzy, który naprowadził go na myśl malowania żony jako świętej Cecylji, dzisiaj w niej nie zdołał dopatrzéć.

Odrzucił wreszcie pędzel, powiedział jej, że nie jest w usposobieniu, że i ona powinnaby się położyć, gdyż wydaje mu się niezdrową i odwrócił sztalugi z portretem do ściany. — Walerja przyznała, że musi odpocząć i powtórzywszy swoją skargę na ból głowy odeszła do swojej sypialni. Fabiusz pozostał w pracowni. Czuł dziwny, niepojęty smutek. Pobyt Muciusza pod jego dachem, pobyt którego on sam żądał, drażnił go. Nie dlatego, ażeby zazdrościł... czy podobna było być zazdrosnym, lub podejrzliwym o Walerję!.. lecz w swoim przyjacielu nie widział już dawnego towarzysza. Wszystko to dziwne, nowe, nieznane, co Muciusz przywiózł ze sobą z tych dalekich stron — i co jak się zdawało weszło mu w krew i kości, te magiczne sztuki, pieśni, dziwne napoje, ten niemy malajczyk, ten zapach korzenny, który czuć było od odzieży Muciusza, od jego włosów, oddechu nawet, wszystko to napełniało Fabiusza uczuciem zbliżonem do nieufności, powoli nawet uczuwał się zazdrosnym. Dlaczego ten malajczyk posługując przy stole z taką osobliwą uwagą spoglądał na Fabiusza? Możnaby mniemać, że on rozumie po włosku. Muciusz opowiadał, że malajczyk ten postradaniem języka poniósł wielką ofiarę, lecz za to zawładnął wielką siłą. Jaką siłą?.. i jakim sposobem mógł zyskać siłę za ucięcie swojego języka? Wszystko to dziwne, niepojęte! Poszedł do sypialni żony; Walerja leżała na łóżku w ubraniu i nie spała. Posłyszawszy jego kroki wzdrygnęła się a potem uradowała z jego przybycia jak i poprzednio w ogrodzie. Fabiusz usiadł obok łóżka, wziął ją za rękę i milcząc chwilkę zapytał: cóż to za niezwykły sen przestraszył cię tak dzisiejszej nocy? Czy może podobny do snu, który, opowiadał Muciusz? — Walerja zarumieniła się i pospiesznie odrzekła: o nie... nie... widziałam jakiegoś potwora. — Z ludzką twarzą? zapytał Fabiusz. — Nie; zwierzę, jakieś straszne zwierzę!.. Odwróciła się i ukryła w poduszkach swoją pałającą twarz. Fabiusz chwilkę jeszcze trzymał jej rękę, milcząc pocałował ją i wyszedł.

Nie wesoło przepędzili ten dzień małżonkowie. Zdawało się, że jakaś chmura zawisła nad ich głowami,—co to było nie wiedzieli. Pragnęli być razem, jak gdyby jakieś niebezpieczeństwo im groziło; będąc razem nie wiedzieli o czem rozmawiać. Fabiusz starał się pracować, nie mógł; to znów chciał czytać Ariosta, poemat którego niedawno ukazał się w Ferrarze, a rozgłośnym się już stał w całych Włoszech,—do niczego nie miał ochoty. — Poźno wieczorem na kolację powrócił Muciusz.

VII.

Muciusz wydawał się spokojnym i zadowolonym; opowiadał mało, za to więcej rozpytywał się o dawnych wspólnych znajomych, o niemieckie wojny, o cesarza Karola; wypowiadał życzenie wyjazdu do Rzymu dla zobaczenia nowego papieża. Znów jak wczoraj zaproponował Walerji wypicie kieliszka wina, a w odpowiedzi na jej odmowę, przemówił jakby do siebie «teraz już nie potrzeba.» Powróciwszy z żoną do sypialni Fabiusz wkrótce zasnął... za godzinę może obudziwszy się zdumiony spostrzegł, że Walerji nie było w pokoju. Szybko podniósł się, i w tejże chwili zobaczył żonę w negliżu powracającą z ogrodu. Księżyc świecił jasno, chociaż przed chwilą kropił mały deszczyk. Z zamkniętemi oczami, z wyrazem przestrachu na nieruchomej twarzy, Walerja przybliżała się do pościeli, dotknąwszy się jej wyciągniętemi rękami, milcząc szybko się położyła. Fabiusz przemówił do niej; nic nie odrzekła, widocznie spała. Dotknął jej i poczuł na jej odzieży, na włosach krople deszczu, na bosych nogach wilgotny piasek. Wówczas wyskoczył i pobiegł do ogrodu przez otwarte jeszcze drzwi. Promienie księżyca nadzwyczaj jasno oblewały wszystkie przedmioty. Obejrzał się i dostrzegł na ścieżce ślady dwóch par ludzkich nóg —jedna para była bosa,—ślady te wiodły do jaśminowej altanki, znajdującej się między pawilonem a domem. Tutaj zatrzymał się nie wiedząc co począć, nagle usłyszał znów dźwięk pieśni słyszanej już poprzedniej nocy! Zatrząsł się cały i pobiegł do pawilonu. Muciusz stał na środku pokoju, grając na skrzypcach. Przystąpił do niego.

— Byłeś w ogrodzie, wychodziłeś... twoje ubranie mokre od deszczu!..

— Nie... nie wiem... zdaje mi się... nie wychodziłem, wolno odpowiada Muciusz jakby zdziwiony nadejściem Fabiusza i jego wzburzeniem.

Fabiusz chwycił go za rękę. — Dlaczego ty znów grasz tę pieśń? Czy znów miałeś sen wczorajszy?..

— Muciusz popatrzył na Fabiusza z tem samem zdziwieniem — i milczał.

— Odpowiadajże!..

— Księżyc jak okrągła tarcza...
Jak wąż błyszczy rzeka...
Druch obudził się, — wróg śpi...
Jastrząb kurkę szarpie. —
Pomocy!

pomrukiwał Muciusz na jakąś nutę, jakby w zapomnieniu.

Fabiusz cofnął się parę kroków, popatrzył na niego, pomyślał chwilę i powrócił do domu, do sypialni.

Pochyliwszy głowę na ramię, z bezsilnie obwisłemi rękami, Walerja spała ciężkim snem. Nie prędko mógł ją obudzić. Przebudzona objęła go spazmatycznie za szyję, drżąc na całem ciele. — Co ci jest? -- moja najdroższa, co ci się stało? — powtarzał Fabiusz, starając się ją uspokoić. Ona omdlewała mu prawie na piersiach. — Ach jakie straszne, straszne sny miewam, — szeptała zakrywając twarz. Fabiusz pragnął wypytać się jej... lecz drżała febrycznie. Jasny blask poranku oświecił szyby okien, kiedy wreszcie znużona i osłabiona zasnęła w jego objęciach.

Dokończenie nastąpi.

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Dnia 20 obchodzono w obozie po raz 12-ty pamiątkę wskrzeszenia królestwa. Przed godz. 8-ą rozpoczęło się nabożeństwo w namiocie wystawionym na wzgórzu, mszę celebrował Woronicz biskup krak. Po ewangelji Koźmian, biskup kaliski, wyszedł przed namiot i odczytał następujące wyrazy i modlitwę, którą kapitani przed pułkami powtarzali; «Oto są własne wyrazy spoczywającego w Bogu N. Ces. i Króla Aleksandra: «Prosimy wszystkich wiernych poddanych naszych, iżby tem samem uczuciem przychylności, z powodu którego uważaliśmy jako najpierwsze dobro nasze na ziemi starania łożone około ciągłej ich pomyślności, zanosili gorące błagania do Pana naszego Jezusa, aby raczył nieskończonem swem miłosierdziem przyjąć duszę naszą do swego królestwa.» —Boże, którego miłosierdzie nie zna granic, przyjmij miłościwie proźby upokorzenia naszego i duszę Aleksandra, ojca i wskrzesiciela Król. Pols., której na tym padole płaczu wyznanie Najśw. imienia Twojego udzieliłeś, racz w wiekuistym pokoju i światłości umieścić. Błagamy Cię o to przez zasługi, mękę i śmierć Pana i Zbawiciela naszego Jezusa Chryst. Amen.» W czasie tej modlitwy wojsko uklękło. — Poczem artyllerja dała salwę 3 krotnie, po nabożeństwie całe wojsko defilowało przed W. Ks., obok siebie mającym ks. Adama Czartoryskiego, wdę.

Rapport oryginalny komisji śledczej ułożony został we francuskim języku przez jener. Rautenstraucha. — Czytając go z początku, przeraża myśl sama, że Polacy śmieli związki polityczne zawierać między sobą i porywać się na rzeczy niepodobne do uskutecznienia. Szczęściem, że się wszystko dosyć zawczasu wykryło, że więcej osób wciągniętych nie zostało, i że sami związkowi nie uwikłali się bardziej, i że w występnych zamiarach nie zabrnęli. — Powszechne jest zdanie o tym raporcie, że mu zbywa na gruntowności, że z jakiego powodu, a raczej na jakim fundamencie, gdyż nie widzimy większego przestępstwa, ośmiu tylko poddano pod sąd? między tymi mieści się Roman Załuski, były referendarz, o którym najmniejszej niema w raporcie wzmianki. Jeźli tych 8 poddano pod sąd, to należało i dwa razy tyle innych poddać, którzy zarówno działali, mianowicie: pułk. Prądzyński i Kozakowski, ten zaś ostatni, ani był nawet aresztowany, równie jak i refer. Wierzbołowicz. — Słowem, że każdy czytający ten raport z uwagą, śledzi i oczekuje rezultatu z dokładnie wyłożonych powodów i motywów, na których się opierając, słusznie się zastanawia, dlaczego ci tylko 8 poddani pod sąd zostali. Przeczytawszy raport, uzna każdy niedokładność działau komisji śledczej i pocieszy się nadzieją, że i ci 8 będą mieli ułaskawienie kary, i że żaden z nich na śmierć skazany nie będzie.

Cichość wielka panuje — najmniejszej wiadomości powziąść nie można, czy delegacja rozpoczęła swe czynności, a tem bardziej kiedy się sąd właściwy rozpocznie. Zdaje się, iż te czynności potrwają kilka miesięcy.

Lipiec. Prezes sądu wda Bieliński zjednał sobie powszechny szacunek publiczności, objąwszy bowiem prezydencją, wejrzał zaraz w dotychczasowy stan więźniów, w ich wygody i lepsze utrzymanie. Słychać bardzo, iż przed swą instalacją, nawiedzony został przez pewnego znakomitego urzędnika, który dał mu do zrozumienia, jakiby wybór osób do delegacji był dla rządu przyjemny, poczem wymienił kasztelana Bronkowskiego i Lewińskiego. Na co mu wojewoda miał odpowiedzieć: nie myślę zawodzić zaufania cesarskiego we mnie położonego i postępować będę w całej tej sprawie, jak mi sumienie i własne przekonanie wskaże; wybór zaś osób do delegacji już mam ułożony i zmienić go nie myślę.

Dnia 3 doszedł upał do 28 stopni, rzadki nader u nas fenomen. Dzień ten był trudny do przebycia, lecz nazajutrz jaka nagła zmiana w temperaturze, gdyż było tylko 18 stopni.

Dnia 4 wyszedł na widok pierwszy Numer zapowiedzianego pisma perjodycznego Śmieszek. Jaki zawód dla czytających! miasto śmiania się, ubolewać należy nad płaskiemi konceptami. Jest to licha parodya Momusa, wydawanego przez Żółkowskiego. Ów Śmieszek wychodzić ma we środę i sobotę, zawczasu przewidzieć można jego krótki pobyt. Wydawcą jest p. Jankowski, którego żona występuje w rolach komicznych, i chyba na tej zasadzie umyślił wydawać to pisemko, gdyż sam jest tetryk i wcale nie jest znany z dowcipu swego. Mówiąc poprzednio o pismach perjodycznych u nas wychodzących, przepomniałem umieścić, iż zjawiły się tu dwa pisma niemieckie, jedno pod tytułem *Polnische Miscellen*, miało zamiar obznajmiać Niemców z literaturą polską; jakoż były tłómaczenia, ale niegodziwe, z kilku naszych poetów; wyszło 3 poszyty i na tem się skończyło. — Również dla braku prenumeratorów, ustała i gazeta *Warschauer Abendblatt*, dwa razy na tydzień wychodząca.

Wielebna cenzura coraz więcej żelazną swą dłonią gnębi redaktorów naszych i publiczności nieznośniejszą się staje. Zgroza bierze czytać przekreślane przez nią miejsca. Warto troskliwie zbierać podobne numera i zachować do odczytywania w następnych może łaskawszych czasach — w istocie są takie miejsca przez nią wzbronione, nad któremi zastanawiając się rozważnie, nie sposób dociec dlaczego i jaki miała w tem powód nie przepuścić! — Co więcej, widziałem egzemplarz Gazety Pols., gdzie donoszą o zgonie czcigodnego Surowieckiego, radcy kom. ośw., wyrażono: cnotliwy obywatel — niepodobało się P. Łubkowskiemu, cenzorowi, przemazał cnotliwy, a napisał natomiast: dobry. To już wyraźne nadużycie!! — W tych dniach zatrzymano na poczcie i nie wydano żadnych gazet zagranicznych. Nie wolno jest brać z poczty nawet gazety niemiec. handlowej, póki przez ręce cenzury nie przejdzie, chociaż pismo to jedynie donosi o targach zbożowych i innych produktach. — O tempora!!

W tych dniach odebrał minister spraw wewn. i policji pismo od W. Ks. wyrażające, iż pomimo poprzedniego zakazu noszenia białych kapeluszy, spostrzegać się daje radca stanu Okołów i Karol Kossowski chodzący w takich kapeluszach, przeto poleca się, aby używanie onych było im najsurowiej wzbronione

Jakoż natychmiast oba o tej woli uwiadomieni policyjnie zostali. Pierwszy z nich, człowiek w wieku, przed laty ośmiu przebrał się był po polsku i nosił od lat kilku bezkarnie biały pilśniowy kapelusz; drugi zaś, będąc na wiosnę w Krakowie, wywiózł słomkowej roboty kapelusz i nie cieszył się nim długo.

Po nieznośnych upałach nastały ogromne wichry — w wielu domach nadpsute dachy, pozrywane całe okna itd. powietrze zaś tak się oziębiło, iż wielu używa płaszczów, a lud prosty przywdział kożuchy. Gwałtowna takowa zmiana ma wpływ na zdrowie, jakoż wielu jest bardzo chorych.

Dnia 12 wyjechał W. Ks. na Wołyń i do Litwy, dla zwiedzenia stojącego tam wojska.

Przed kilkunastu dniami komisja „ośw. zebrana in pleno, wybrała kandydatów na arcybiskupa, to jest: Woronicza biskupa krakowskiego, Prażmowskiego płockiego i Burzyńskiego sandom. Ciekawi jesteśmy jak rychło nastąpi potwierdzenie którego z nich przez cesarza.

Dnia 14 przy zakończeniu kursów rocznych, odbyło się publiczne posiedzenie król. warsz. uniwersytetu, na którem otrzymało za najlepsze rozprawy nagrody w medalach złotych 10ciu uczniów i magistrów. Za rozprawę z tematu zadanego przez wydział lekarski, przyznano medal złoty mniejszy Antoniemu Cypryśińskiemu 3 letniemu uczniowi wydziału filozoficznego, a 2 letniemu prawa i admin. — Ten to jest sam uczeń, który tego roku c l Towarz. P. N. otrzymał medal, a w latach poprzednich 2 medale w uniwersytecie Rektor uniw. wileńs. Pelikan był obecnym na posiedzeniu.

Budowa teatru na wielką skalę i z takim nakładem w roku zeszłym rozpoczęta, prawie ustała teraz, i zaledwo kilkadziesiąt ludzi około niej jest zajętych — brak funduszów jest tego przyczyną. Wiadomo bowiem, iż ś. p. cesarz, obracał dochody z Królestwa na niego przypadające w sumie 7 miljonów, na upiększenie miast naszych i na inne zakłady — teraz zaś nam panujący pobiera one, a względem teatru oświadczył, aby miasto ze swoich funduszów nakłady na gmach teatru łożyło.

Dnia 22 po godz. 1 z południa, wszczął się pożar w gmachu podług dawniejszego przeznaczenia Ludwisarnią zwanym, który później za staraniem rządu na fabrykę sukna był obrócony. Warsztaty, zapasy ogromne weszły, sukna i oleju, wraz z 5 piątrowym gmachem, stały się w kilku godzinach pastwą płomieni. Fabryka ta największa i najlepsza w kraju, należała do bankiera Fraenkla.

(C. d, n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Król Bolesław Śmiały, dramat w V-ciu aktach przez Adama Bełcikowskiego. Warszawa 1882 in 8-vo str. 90.

Wyprawa kijowska zmieniła charakter Bolesława Śmiałego. Potężny ten, „szczodrym“ za życia zwany monarcha, był wprawdzie zawsze gwałtowny, ale zawsze sprawiedliwy

I ludzki. Rządził surowo, lecz dobrze.
Pokazał Czechom, Węgrom i Rusinom
Co umié; państwa granice rozszerzył
I dzielnym mieczem przywrócił ojczyźnie
Czasy Chrobrego.....

Ale niepowodzenia kijowskie, bunty domowe, nieposłuszeństwo i zdrady, rozjątrzyły króla i w dzikiej samowoli i okrucieństwie pragnął znaleźć zemstę za zniweczenie swoich zamiarów. Odkąd przeto powrócił z wojny stał się

jak lew rozjuszony
Jak zwierz krwiożerczy i odtąd już w kraju
Źle wszystko idzie i niéma człowieka
Coby nad swojem nieszczęściem nie płakał.

Do ludzi, którym król zatruł dni żywota należał Mścisław z Bużenina, mąż Krystyny, kochanki królewskiej. Poznał ją król w domu jej męża, a uniesiony żądzą rozkoszy, podniecona wzajemnością Krystyny, porwał ją i osadził przy sobie na zamku, niepomny na swoje związki małżeńskie z Wisławą. Mścisław przybywa na dwór królewski:

zapomnę o wszystkiem
Coś mi wyrządził — wezmę ją od ciebie
Z hańbą na czole, w twych grzesznych uściskach
W obliczu świata zbeszczeszczoną — wezmę
Taką jak dziś jest, odartą z uroku
Małżeńskiej wiary, kobiecej czystości
Tylko mi oddaj ją.....

Bolesław rozkazuje wtrącić Mścisława do więzienia, lecz cofa swój rozkaz na prośby Krystyny. Mścisław odchodzi mówiąc:

wiedz królu, że z nami rachunek
Nieskończony. Na ziemi czy w niebie,
Czy dziś, czy jutro znajdę sprawiedliwość
I pomstę !

Krystyna przeklinająca chwilę grzesznego szału, która ją zaślepioną wielkością i blaskiem kochanka popchnęła w jego ramiona, choć wierzy, że król ją kocha, to niema wiary,

Aby ta miłość przyniosła nam szczęście,
Bo grzech ją zrodził a występek karmi........
. . . .
Poszłam za tobą, a za mną szła klątwa,
Szli mych występków okrutni mściciele:
Wstyd, smutek, hańba, boleść i wyrzuty.

Zbylut, zausznik Bolesława, donosi mu z oburzeniem o biskupie Stanisławie, który padającego mu do nóg Mścisława podniósł, pocieszał i zapewniał o bożej sprawiedliwości. Zaledwie skończył opowiadanie, biskup zjawia się w zamku i prosi o posłuchanie.

Następuje scena będąca właściwym zawiązkiem dramatu. Biskup domaga się oddania żony Mścisławowi, jako pierwszego aktu sprawiedliwości, po którym powinien monarcha zrzec się swych błędów i dążyć do poprawy. Zaczyna od proźby i błagania, a gdy to nie skutkuje upomina, przedstawia a w końcu grozi ramieniem kościoła. Bolesław odpowiada dumnie, z początku poważnie, imponująco, potem gniewnie. Biskup odchodzi a król rzuca za nim słowa:

Zuchwały księże ! zaszedłeś daleko,
Przeciw mej woli postawiłeś własną,
Pod swą powagę ugiąć mię pragnąłeś
To więcej niźli zniosę i pozwolę.

Odtąd wypadki następują szybko i gwałtownie. Król rozdrażniony wyprawia ucztę, na którą wzywa wybitniejszych panów i rycerzy. Występuje na niej publicznie z Krystyną i sadza ją obok siebie, wiedząc, że biskup ma się u niego pojawić. Wydany rozkaz wpuszczenia biskupa, zastanawia i oburza wielu obecnych. Biskup wchodzi, a po gorącej rozprawie, w której król odrzuca z pogardą i urąganiem jego słowa, zapowiada Bolesławowi użycie ostatniego środka: przekleństwa.

Czasy Bolesława były to czasy wielkiej walki kościoła. Kanossa świeżym była wypadkiem. Przed powagą Grzegorzową uchylali czoła mocarze, a klątwa była bronią straszną i skuteczną. Autor kładzie w usta osób występujących w dramacie tak opowiadanie o zatargach papieża Grzegorza z Henrykiem, jak i objaśnienie znaczenia klątwy, przez co nadaje wyrazistsze tło swemu utworowi i przysposabia czytelnika do zrozumienia dokładniejszego opisywanych scen dziejowych. Słowa :

Władza królewska jestto niby księżyc,
Co pożyczanym świeci tylko blaskiem,
Władza papieska zaś — to gwiazda dzienna, —
To słońce własnem promieniące światłem.

— tłomaczą dokładnie położenie rzeczy i dają właściwy koloryt walce króla z biskupem, koloryt fałszywy może historycznie, ale szczęśliwie wprowadzony do dramatu, osnutego na tle tak znanych, a tak trudnych do objaśnienia faktów. Czytelnik przygotowany tak przez autora, pojmie łatwo znaczenie klątwy i wrażenie jakie wywarła. Biskup spełnił swą powinność w „sposób najłagodniejszy,“ rzucając tak zwaną klątwę mniejszą, różną znacznie od anathemy. Król na tę wieść zwołuje drużynę i zbrojno udaje się do biskupa, głuchy na proźby królowej i Krystyny. Dwie te kobiety zostają razem w chwili, gdy w kościele odbywa się zbrodnia. Krystyna na kolanach błaga przebaczenia, królowa je daje:

Cóżeś ty winna? — ja żadnej urazy
Nie mam do ciebie. Nie wzięłaś mi tego
Co nigdy moją nie było własnością (?)
Król mnie nie kochał nigdy.....

Obie kobiety klękają i modlą się za królem. Modlitwę przerywa przybycie Domarada z wieścią o zbrodni królewskiej. Wojewoda Żelimir, część panów i szlachty przychodzą z groźbą, że rozkazów jego słuchać zaprzestaną. Król rozkazuje wtrącić Żelimira do więzienia. Zdala słychać dzwony kościelne: legat papieski wjeżdża w granice dyecezji.

Zabójstwo biskupa sprowadza wielką klątwę, anathemę, połączoną z interdyktem na królestwo i „wszystkich ludzi polskiego narodu.“

Kościoły będą dla wiernych zamknięte
I służba boża wszelka w nich ustanie
Dzwony w świątyniach zamilkną od dzisiaj
I sakramentów łaski nikt nie dozna!
Kto się narodzi ten chrztu nie dostanie;
Kto się chce żenić temu przed ołtarzem
Z oblubienicą kapłan rąk nie zwiąże;
Kto konać będzie tego wijatykiem
W drogę wieczności kościół nie opatrzy
Ni z grzechów jego nie da rozgrzeszenia;
A gdy kto umrze, w poświęconej ziemi
Nie będą jego zwłoki pochowane.

Rezultatem klątwy i interdyktu ogólne wzburzenie umysłów; lud i szlachta buntuje się. Żelimir odbity z więzienia staje na czele zbrojnych i oświadcza królowi, że naród czuje się wolny od posłuszeństwa i poddańczej przysięgi. W walce z „królewskimi“ Żelimir zwycięża. Króla opuszcza energja. Widząc to Zbylut, najzaufańszy zausznik królewski, odstępuje go za innymi. Ostatni cios zbolałej jego duszy wymierza Krystyna, przychodząca się pożegnać.

Król. I ty litości nie masz nad mym bólem
Krystyna. Bóg ją mieć będzie! — Idź, królu, do Rzymu!

Akt piąty przenosi nas do Ossyaku, klasztoru Benedyktynów. Spotykamy tu prawie wszystkie osoby dramatu, dążące do Rzymu, aby przebłagać dłoń „co słuszną wymierzyła karę.“ Mamy tu więc i Żelimira i Mścisława i dworzan królewskich... i Krystynę ukrywającą się pod ciemną zasłoną. Po drodze przyłączyła się do pielgrzymki nie zdradzając swego imienia. Podczas rozmowy z zakonnikiem zbliża się do niego pastuszek z wiadomością, że „obcy człowiek, któremu tyle świadczycie dobrodziejstw“ jest bardzo chory. Przybył on przed dwoma laty

I osiadł w lesie
Zajął lepiankę opartą o skałę.....
Nosił drwa do wsi, czasem do klasztoru
I tem zarabiał na swe wyżywie nie
Lecz od niedawna zabrakło ma siły......
. . . .
Zdaje się trapić go walka wewnętrzna
I jakieś straszne wspomnienia z przeszłości.

Wieśniacy przyprowadzają schorzałego króla. Na wiadomość, że są tu jego rodacy, rzuca się gwałtownie i nie chce ich widzieć. Żelimir zbliża się i poznaje króla. Krystyna klęka przy nim, a słowa jej: „toś ty jest królu!“ — łamią jego chęć ukrycia swojej osoby i godności. Dowiaduje się z ust Żelimira, że cały gmach, który budował, rozpadł się: brat Władysław panuje nie jako król, ale jako książe, zaniechał wojen, dobrowolnie władzę swą podzielił z pierwszemi rodami, zmniejszył podatki, zaniechał wojny, ugodził się z Węgrami, Rusi odstąpił zdobyte krainy..... Słowa te go gnębią, odrzuca prośbę Żelimira, aby razem z pielgrzymami udał się do Rzymu — ostatki dumy nie pozwalają mu na to. Przy umierającym zostaje tylko zakonnik i Krystyna.

Przebacz mi Boże moje ludzkie winy!
Żałuję, żem był popędliwy, srogi,
Na namiętności żem nie kładł hamulca,
Żem grzeszył dumą, często zaślepienie
Biorąc za rozum... żałuję żem duszę
Obarczył grzechem niecnego zabójstwa,
Zabił człowieka..... Ah! przebacz mi Boże!

— są ostatnie słowa królewskie, po których głowa jego opada bezwładnie. Bolesław skonał...

Taka jest treść dramatu p. Bełcikowskiego. Pominęliśmy drobne ustępy, jak np. wplątaną w dramat miłość Mirosza, dworzanina, do Bogny córki Żelimira — gdyż drobny ten epizod, jak i wiele innych, służy jedynie do ożywienia dramatu, będąc bez wpływu na akcję.

Pan Bełcikowski miał szerokie pole do fantazji, gdyż dzieje skąpo dostarczyły objaśnień tak tragicznego faktu, jakiem było zabójstwo Śtego Stanisława. Legendy więcej zajmują się cudami, jakie się wydarzyły po zabójstwie, niż jego motywami. Autor wziąwszy za kanwę ówczesne zatargi Rzymu z władzą monarchiczną, uszlachetnił, jeżeli tak można powiedzieć, fakt morderstwa, nadał mu poniekąd znaczenie zbrodni politycznej. Historja ani zaprzeczyć ani potwierdzić tego stanowczo nie może. Zyskuje jednak na tem bezwarunkowo sam dramat.

Autor umiał wyzyskać przedmiot, a podniósł go znacznie szczęśliwie illustrując wybitniejsze momenta. Tak np. chwila wyklęcia pełna jest grozy i wspaniałości. Nietylko jednak słowa klątwy przyczyniają się do tego, ale i natychmiastowe jej skutki: oto młody człowiek przeciska się przez tłumy, aby daremnie prosić o wijatyk dla umierającej matki, oto młoda para zapóźno przybywa, aby połączyć się związkiem małżeńskim. Wszystko to potęguje wrażenie, pozwala ocenić całą grozę faktu.

Do szczęśliwych i poetycznych pomysłów zaliczyć należy scenę przebaczenia królowej Wisławy Krystynie, lubo scena ta niszczy koloryt wieku. Przebaczenie kochance męża ze strony żony może być produktem albo czasów barbarzyńskich, albo wysokiej, że tak powiemy, cywilizacji uczucia. Udzielić je może albo kobieta niepojmująca brzydoty moralnej stosunku, albo też jakaś dzisiejsza filozofka-pozytywistka, przejęta teorję „niewinności.“ Wisława nie mogła być ani jedną, ani drugą, a więc udzielając przebaczenie uczynić to mogła jeszcze jako kobieta rozpustna lub święta. Rozpustną zaś według autora nie była — jako święta inne dla przebaczenia wyszukałaby motywy: przebaczyłaby dlatego, że przebaczenie jest cnotą, a nie wdawałaby się w uniewinnianie samego czynu i tłómaczenie go zwykłą namiętnością. Bądź co bądź scena ta sama w sobie jest piękną, jak również następna wspólna modlitwa obu kobiet w chwili, gdy za sceną odbywa się zbrodnia.

To usunięcie ze sceny głównego faktu w dramacie i wprowadzenie natomiast wspomnianej modlitwy należy do najlepszych pomysłów autora, dowodzących wysokiego poczucia estetycznego. Prócz tego podnieść należy wyborną charakterystykę osobistości. Biskup to postać surowa, poważna, a każde jego słowo, każdy czyn dowodzi żelaznej konsekwecji. Charakter Bolesława skreśliśmy już w streszczeniu dramatu — w jednem tylko miejscu dostrzegliśmy odstąpienie od dobrze pomyślanej charakterystyki, a mianowicie w chwili kiedy uwolniony z więzienia Żelimir na czele panów wypowiada posłuszeństwo królowi, jeżeli w Rzymie nie uzyska przebaczenia. Bolesław wówczas za dużo mówi, za wiele się tłómaczy dlaczego do Rzymu nie pójdzie, zbyt rozumuje. Charakter tak gwałtowny, napotkawszy opór druzgocze go, lub się cofa, łamie, — ale nie prowadzi językowej sprzeczki.

Układ, styl i język dramatu p. Bełcikowskiego nic prawie nie pozostawiają do życzenia, drobne bowiem usterki nikną w obec pięknej całości. Zaliczamy do nich wyraz: „wyzabijać“ i niewłaściwie użyte dla miary wiersza wyrażenie: „zastanów się Mścisław!“ zamiast: zastanów się Mścisławie!

B.

Józef Doliwa Głębocki. Wspomnienie z roku 1830 i 1831, czyli treściwe przedstawienie dziejów tegoż okresu itd. Kraków, 1882 nakład autora in 8-vo maj. 301 str. cena 3 złr.

Autor, oficer wojsk polskich, wydał to dzieło z powodu 50 letniej rocznicy powstania 1831 r. Źródłami jego są wydane dotąd dzieła traktujące dzieje powstania listopadowego jak: Mochnackiego, Mierosławskiego, Sołtyka, Spatziera oraz liczne pamiętniki i wspomnienia. Przy rozbiorze działań wojennych opiera się autor głównie na powadze jenerała pruskiego Willisena. Wreszcie własne wspomnienia i szczegóły wydobyte z rozmów z jenerałami: Paszkowskim, Prądzyńskim i Chłopickim dopełniają źródeł użytych w opowiadaniu.

Całe dzieło składa się z dwóch części. W pierwszej, bardzo małej. poświęca autor swoje pióro opisowi tak waszego „wielkiego tygodnia Polaków.“ Skreśliwszy dość pobieżnie przygotowania do wybuchu, przystępuje autor do opisu nocy 29 listopada i dość szczegółowo notuje działania oddziału belwederskiego, artylerji, akademików i ludu warszawskiego itd. Nowych rzeczy nikt tu nie napotka — szczegóły są znane z różnych dzieł, opisów i pamiętników. To też autor widocznie nie przykładał znaczenia do tego opisu, uważał go tylko jako potrzebny do wprowadzenia czytelnika na scenę działań wojennych.

Te działania wojenne stanowią część drugą, główną, dzieła p. Głębockiego. Podając historyczny szkic rozwoju wypadków na polu walki, autor stara się dać krytyczny pogląd na działania wojenne głównej armji i oderwanych od niej oddziałów. Streszczać wielkiej obfitości faktów nie będziemy, gdyż musielibyśmy wymieniać te fakta i te wypadki, które wszystkim zbyt dobrze leżą w pamięci. Suma uwag autora nad niemi da się streścić w następnych zarzutach: nie mieliśmy wodzów, a raczej mieliśmy ich za wielu, ztąd był brak zaufania i jedności w działaniu. Przy braku sprężystości rządu, przy chęci kokietowania z carstwem, przy wybrykach ludu i ciągłych zmianach u steru, trudno było wyjść zwycięzko w walce z silnym wrogiem, umiejącym do tego śmiało i konsekwentnie działać. Autor przyznaje wszystkim głównym działaczom 1831 roku dobrą wolę, żadnemu z nich nie przypisuje

zdrady w czystem tego słowa znaczeniu, ale nie może zaprzeczyć, że ich opór woli narodu i działanie na własną rękę zgubiło powstanie tak pięknie rozpoczęte i tak pełne braterskiego poświęcenia.

Styl autora bardzo prosty, wolny od wyszukanych zdań i wyrazów, czasami jednak nieco zaniedbany. X.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Ruch muzyczny.

Koncerta. Objąwszy w „Przeglądzie" stałą rubrykę z dziedziny tonów, starać się będziemy podawać streszczony obraz całego ruchu muzycznego w Krakowie. Jakkolwiek stary gród Krakusa dotąd nie stoi zbyt świetnie pod względem muzycznym, jednakowoż już wiele zrobiono w tym kierunku a miasto nasze, dawniej przez wybiniejszych artystów omijane, dziś widzi i słyszy nawet pierwsze gwiazdy na firmamencie muzycznym I tak w ostatnich trzech latach słyszeliśmy Rubinsteina, Joachima, Bülowa i Essipową a w tym roku kilku znaczniejszych artystów jest spodziewanych. Zresztą osiedlenie się na stałe w Krakowie p. Władysława Żeleńskiego, pierwszorzędnego kompozytora i znakomitego teoretyka, nie pozostanie też bez wpływu na rozwój ruchu muzycznego. Kraków posiadający akademją sztuk pięknych, może niedługo czekać będzie i na dawno obiecywane konserwatorjum muzyczne, na którego czele stanie niezawodnie p. Wł. Żeleński, a wówczas i Towarzystwo muzyczne więcej się ożywi i lepiej się rozwinie.—Staraniem wydziału stowarzyszenia weteranów wojs. organizuje i kompletuje się obecnie orkiestra cywilna, która niezawodnie wywrze wpływ znaczny na wzbogacenie programów koncertowych, a wykonywaniem dzieł orkiestralnych polskich kompozytorów i na rozwój naszej literatury muzycznej.

Sezon muzyczny zaczął się w tym roku prędko, a mianowicie koncertem krakowskiego Towarz. muzycznego, danym w ogrodzie strzeleckim dnia 9 b. m. Nie będziemy wchodzili w jego szczegóły, gdyż był on zupełnem powtórzeniem ostatniego koncertu przed ferjami z tą tylko różnicą, iż kilka numerów programu zupełnie opuszczono, i że chór był jeszcze słabszy jak ostatnim razem.

Dnia 11 i 12 września dali tu dwa koncerta w letnim teatrze p. Fr. Ondrziczek i członkowie opery pragskiej: panna Hlawaczek oraz pp. Karol Kowarzewicz i Stropnicki.

P. Ondrziczek należy do skrzypków znakomitszych; studja robił w konserwatorjum pragskiem u prof. Bonnewitza, a później w Paryżu pod kierunkiem Masarta. Ten wpływ szkoły francuzkiej przebija się też w grze jego. Technika jego swobodnie igrająca z wszelkiemi trudnościami instrumentu, równe staczato, trudne oktawy brane z lekkością i pewnością, a flageolet czysty i piękny—oto cechy gry Ondrziczka. Utwory brawurowe, wymagające wielkiej techniki gra wybornie, w klasycznych dziełach mniej nas zadowolił. W grze jego jest mało ciepła, gra taka każe się podziwiać, lecz nie porywa. W koncercie Mendelsohna nie wszystkie części nas zadowoliły, a mianowicie kantylena była nieco słabiej wykonaną. W roku zeszłym grał ten koncert Joachim, a właśnie ustępy śpiewne grał ów „król skrzypków" cudownie. O wiele lepiej niż Mendelsohna zagrał p. Ondrziczek znany koncert Maxa Brucha; a nawet bardzo dobrze legendę i mazurek Wieniawskiego. Trudny polonez Lauba oraz Tarantellę własnego układu wykonał świetnie tak, iż techniką swą olśnił słuchaczy.

P. Kowarzewicz jest prawdziwym wirtuozem na arfie; gra z uczuciem i zrozumieniem, szczególnie podobał się w wykonaniu fantazji Oberthüra i „Strumyka" Spindlera. Zarazem poznaliśmy w p. K. dzielnego akompanjatora. — Panna Hlawaczek posiada miły mezzo-sopran, głos świeży i sympatyczny; śpiewała przeważnie ludowe czeskie piosnki. P. Stropnicki, barytonista, posiada głos przyjemny, chociaż górne tony nie mają już dźwięku średnich i dlatego to nadużywa artysta ten falsetu. Najlepiej wykonał p. Stropnicki pięknią arję z opery „Lejla" Bendla. Publiczności było stosunkowo nie wiele lecz mimo to przyjmowano serdecznie sympatycznych gości z nad Wełtawy.

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Literackie i naukowe.

— *Kraszewski* będzie umieszczał w warszawskiem „Słowie" zbiór szkiców powieściowych p. t. Mozajka

— Nakładem księgarni Gubrynowicza we Lwowie wyjdzie niezadługo drugie wydanie listów *Słowackiego* do matki.

— Dowiadujemy się, że rodzina *Karola Balińskiego* zebrawszy wszystkie prace zgasłego poety, poszukuje na nie wydawcy. Autorowi „Farysa" należy się ten pomnik sprawiedliwie.

— Portret i życiorys zmarłego przedwcześnie dla nauki *St. Lukasa* pomieszcza Tygodnik illustrowany.

— Dr. *T. Ziemba* ukończył tłomaczenie „Hermana i Dorotei" Göthego.

— Dr. *L. German* wydał świeżo tłomaczenie niemieckie „Balladyny" Słowackiego.

— Ostatni Nr. Ateneum zawiera początek pracy literackiej p. *Kazimierza Bartoszewicza:* Małpa-człowiek, nieznana satyra XVIII. wieku.

— Na scenie warszawskiej Alhambry pojawi się w tych dniach nowa czteroaktowa farsa: „Warszawianki." Libretto napisał *Sarmaticus*, muzykę *Gabryel Konopasek.*

— W „Uniwersal-Bibliothek" Reclama wyszły „Dorfgeschichten v. *Heinrich Sienkiewicz.*" Są tu pomieszczone przekłady Szkiców węglem, Janka muzykanta i starego sługi.

— „Kłosy" drukują listy *Klem. Hoffmamowej* do J. Lelewela.

— „Ziarno," tygodnik literacki, wychodzić zacznie we Lwowie pod redakcją *Bolesława Czerwińskiego i Bolesława Spausty.*

— W Londynie wyszło świeżo dzieło *Oliphanta:* The literatury History of England in the End of the Eighteenth and Beginning of the Nineteenth Century.

— Wrześniowy Nr. „Nineteenth Century" zawiera poemat *Tennysona:* „To Virgil."

— „Le Traitre," nowy dramat *Erkmana Chatriana*, przygotowuje teatr Gaité w Paryżu.

— *Papogeorges* znalazł na wyspie Salonice „traktat o siłach" Galliena, uważany dotąd za stracony.

Z dziedziny malarstwa, rzeźby, muzyki, teatru i architektury.

— Znakomitego naszego pejzażysty R. *Kochanowskiego* widzieliśmy dwa ładne krajobrazki u p. Krywulta, które bierze je do Warszawy.

—Tamże widzieliśmy śliczny rodzajowy obrazek *p. Zygmunta Ajdukiewicza* „U bramy zamku," oraz ładną kompozycję *Tadeusza Rybkowskiego*: „Przed karczmą."

— P. *Bieszczad* ukończył obraz: Przy wyjściu z kościoła, odznaczający się miłym kolorytem i układem.

— Akwarellę p. *Tondosa* „Pod świętą Barbarą" nabył p. Krywult dla swojej wystawy.

— Dzieło: „Die königliche Pinakothek älteres Meister in München" wychodzi zeszytami. Każdy zeszyt składa się z kilku fotografij z tekstem *Fryderyka Pechta.*

— *I. F. Someran* wydał w Amsterdamie: Essai d'une bibliographie de l'histoire spéciale de la peinture et de la gravure en Hollande et en Belgique 1500—1875.

— Na cele budowy Muzeum sztuki dekoracyjnej w Paryżu urządzono loterję, która przynieść ma brutto 14 miljonów franków,

— W Londynie wyszło świeżo dzieło: *James Lukin.* Picture Frame, Making for Amateurs. Illustrated.

— *Jozef Joachim* mianowany został dyrektorem królewskiej akademji muzycznej w Berlinie i dyrektorem muzycznym król. akademji sztuki.

— Dla gmachu politechniki w Charlottenburgu wymodelował prof. *Franz* z Berlina 3 grupy w monumentalnym stylu, przedstawiające: Matematykę, Rzemiosło i Malarstwo.

— Galerja drezdeńska zakupiła za 40.000 marek krajobraz holenderski *Andrzeja Achenbacha.*

— *Karol Sohn* w Düsseldorfie otrzymał zamówienie na portret księcia Walji z rodziną. Portret ten ofiarować ma królowa Wiktorja... Cetewayowi.

— W roku przyszłym ma się odbyć powszechna wystawa sztuki w Monachium.

— Na wystawę powszechną sztuki w Rzymie zapowiedzieli artyści włoscy nadesłanie 1000 obrazów i 400 rzeźb. Wystawa będzie otwartą przez całą zimę na Via Nazionale w osobno na ten cel wybudowanym gmachu. Jednocześnie otwartą zostanie wystawa starożytności znajdujących się w rękach prywatnych w Rzymie.

— Najnowszy utwór *Gounoda*, oratorjum p. t. „Redemption" przedstawionym został na początku b. m. w Birmingham na tak zwanym „Festiwal." Siły orkiestralne składało 145 muzyków, chóry zaś 400 śpiewaków.

— Opera komiczna w Paryżu przygotowuje na sezon zimowy: „Manon" *Masseneta*, „Lacme" *Leona Delibes*, „La nuit de Saint-Jean" *Lacome'a.*

TREŚĆ Nru 10go: Po dziesięciu latach, nowella Walerji Marrené (ciąg dalszy). Po troszeczku, z Berangera tłom. L. Kozłowski. Ustęp z życia Mickiewicza: Uwięzienie i wyrok wygnania, napisał Dr. T. Ziemba. (ciąg dalszy). Z Etnografji krajowej przez Romana Zawilińskiego. Pieśń zwycięzkiej miłości, nowella Turgieniewa, tłom. Zenoni Kleczkowski. Pamiętniki Tymoteusza Lipińskiego (ciąg dalszy). Przegląd literacki: Król Bolesław Śmiały przez Adama Bełcikowskiego. Wspomnienie z r. 1830—1831 przez Józefa Doliwę Głębockiego. Przegląd artystyczny: Ruch muzyczny, przez Maurycego Siebera.. Drobne wiadomości literackie, naukowe i artystyczne.
ODCINEK: Kronika przez K. B.

Do tego Nru dołącza się „U żniwa" rysunek R. Kochonowskiego.

Zaproszenie do przedpłaty na tanie wydawnictwa.

I. DZIEŁA JANA KOCHANOWSKIEGO

w czterech tomach z portretem i życiorysem.

Tom pierwszy; drugi i trzeci **już wyszedł**, tom 4ty wyjdzie we Wrześniu

Pomimo tylu wydań dawnych i nowszych, dzieła kompletne ojca naszej literatury, jakim był Kochanowski, są **już od lat kilkunastu zupełnie wyczerpane w handlu księgarskim.** Nie było zresztą dotąd rzeczywiście ani jednego wydania kompletnego w całem znaczeniu tego słowa: jedni bowiem opuszczali dzieła łacińskie, inni pozwalali sobie usuwać niektóre drobne utwory.

Ponieważ zadaniem wydawnictwa jest popularyzowanie arcydzieł literatury, przeto utwory łacińskie Kochanowskiego, podane będą nie w cryginale, lecz **w znakomitych tłomaczeniach Kazimierza Brodzińskiego i Władysława Syrokomli.**

Cztery tomy dzieł Jana Kochanowskiego kosztować będą **3 złr. 20 c.** z przesyłką **3 złr. 60 c.** w oprawie w płótno angielskie **4 złr. 80 c.** z przesyłką **5 złr. 20 c.**

Do chwili jednak wyjścia czwartego tomu OGŁASZA SIĘ PRENUMERATĘ na całość w kwocie 2 złr. 40 ct., z przesyłką każdego tomu pojedynczo 3 złr., z przesyłką wszystkich czterech tomów razem po wyjściu 2 złr. 70 c. w oprawie w płótno angielskie 3 złr. 75 c., z przesyłką każdego tomu oprawnego osobno 4 złr. 35 c., z przesyłką wszystkich tomów oprawnych razem po wyjściu 4 złr. 10 c.

II. WYBÓR PISM IGNACEGO KRASICKIEGO

w 5ciu tomach z portretem.

Tom pierwszy już wyszedł tom piąty wyjdzie w Październiku

Kilkanaście wydań dzieł tego **najwytworniejszego pisarza polskiego XVIII w.** w krótkim przeciągu czasu stały się rzadkościami. To wskazuje najlepiej jaką popularnością cieszą się dzieła księdza biskupa warmińskiego, jak jego wytworność stylu i nieporównany dowcip nie starzeją się, lecz zawsze świeże i niedoścignione w swym rodzaju się wydają.

Wydanie niniejsze obejmie: Satyry, Bajki i przypowieści, Bajki nowe, Myszeis, Monachomachję, Wojnę chocimską, Pieśni Ossyana, Listy, Komedje: Łgarz, Solenizant, Frant, Statysta, Mędrzec, Krosienka, Pieniacz, utwór dydaktyczny: Pan Podstoli, Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego, Historję i wiersze różne.

5 tomów (każdy po 320 str.) kosztować będą **4 złr.** z przesyłką **4 złr. 40 ct.** w oprawie w płótno angielskie **6 złr.**, z przesyłką **6 złr. 40 ct.**

Do chwili jednak wyjścia drugiego tomu OGŁASZA SIĘ PRENUMERATĘ w kwocie 3 złr. za pięć tomów z portretem, z przesyłką każdego tomu pojedynczo 3 zł. 75 c., z przesyłką wszystkich tomow razem po wyjściu 3 złr. 40 c. — w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 4 złr. 60 c., z przesyłką każdego tomu oprawnego osobno 5 złr. 35 ct., z przesyłką wszystkich razem po wyjściu 5 złr.

Adres wydawcy:

K. BARTOSZEWICZ, Kraków, Rynek, hotel drezdeński.

W KSIĘGARNI

K. BARTOSZEWICZA

W KRAKOWIE,

można nabyć po zniżonych cenach:

Asnyk, (E-ly) Cola Rienzi dramat historyczny z XVI. w. w 5ciu aktach oryginalnie napisany zniżony na 1 złr. —

Bartoszewicz Juljan. Historja literatury polskiej, wydanie drugie pomnożone. Kraków 1868 2ty 5 —

Buliński. Historja kościoła polskiego 3 t. Kraków 1873 cena 12 złr. zniżona na 6 —

Buszczyński. Ameryka i Europa studjum historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem, Kraków 1876 cena 5 złr. zn. na 1 50

Giller. Polska w walce, cena 3 złr. 50 c. zniż. na 1 50

Jeż T. T. Historja o pra-pra-dziadku i pra-pra-wnuku, 4 tomy, cena 6 złr. 80 c. zniż na. 2 —

Jeż T. T. Słowiański Hercog, powieść w 4 tomach, cena 6 złr. zniż. na 3 60

Pamiątka dla rodzin polskich, krótkie wiadomości biograficzne o straconych na rusztowaniach, roztrzelanych i t. p. od roku 1861—1863 z przedmową Bolesławity. Kraków 1867 cena 4 złr. (bez fotografij) zniż. na 1 80

Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, cena 4 złr. zniż. na 1 60

Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stan. Augusta z 8 rycinami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1872, cena 1 złr. 20 c. zniż. na — 50

Thierry. Historja Attylli i jego następców 2 tomy, cena 4 złr. 75 zniż na 3 złr.

Thierry. Obraz państwa rzymskiego, cena 3 złr. zniż. na 1 80

Zacharjasiewicz. Marek Poraj, pow. z czasów pierwszego rozbioru Rzplitej pols. Kraków 1876 — 80

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. BARTOSZEWICZA

w Krakowie, rynek, hotel Drezdeński

wyszło **pierwsze tanie wydanie**

DZIEŁ JULJUSZA SŁOWACKIEGO

w pięciu tomach z portretem.

Wydanie to zawiera toż samo co lipskie wydania i lwowskie, oraz odnaleziony urywek poematu Juljusza: Pan Tadeusz.

Pod względem poprawności korekty wydanie to przewyższa wszystkie dawniejsze. Papier biały, druk czysty i wyraźny.

Cena 5ciu tomów 4 złr. z przesyłką pocztową 4 złr. 40 ct.

W ozdobnej oprawie w płótno angielskie z wyciskami cena 6 złr. z przesyłką pocztową 6 złr. 40 ct.

Do nabycia we wszystkich znaczniejszych księgarniach krajowych i zagranicznych.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke.**

W drukarni A. Koziańskiego.



Rysuek R. Kochanowskiego.

U ŻNIWA.

